



WYPRAWA DAHOMEJSKA.

79
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

JÓZEF MIŁKOWSKI.

Ze wspomnień legionisty

Wyprawa Dahomejska.



Cena 40 kop.

W prenum. 19¹/₄ kop.

WARSZAWA

Druk Ed. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70.

Tel. Nr 27-73.

519103



Rodzicom i Helence
poświęcam.



Przedmowa.

Wskutek nalegań przyjaznych mi osób, twierdzących, że wspomnienia moje zainteresować, a kto wie, przydać się może mogą i że literatura polska nie jest zbyt bogatą w dziale, do którego te wspomnienia zaliczone być mogą, wziąłem się do roboty i oddaję pod sąd publiczny książeczkę niniejszą. Com widział, czegom sam doznał, o tem zdaję wierną relacyę, wiedząc, że się w wielu szczegółach nie zgadza ona z relacyami urzędowych tej wyprawy dziejopisów.

Zwracam uwagę na używaną przezemnie terminologię co do niektórych określeń wojskowych, jak np. „kompania“. Wolę ten francuski wyraz, używany u nas już za czasów saskich, później za Napoleona, za Księstwa Warszawskiego i później, od wyrazu „rota“, oznaczającego w polskich forma-

eyach wojskowych rząd z dwóch ludzi: „Rotami od prawego, marsz!“ Termin rotmistrz, oznaczający kapitana jazdy, pochodzi wprost od niemieckiego „Rittmeister”. Wolę również używać dziko brzmiącego wyrazu „eskuada” (esconade) od niemieckiego „cug”, jak również sierżant, furyer, kapral, żołnierz pierwszej klasy od „gefrajtel”, „feldfelbel” i t. d.

J. Mitkowski.



I.

Legion cudzoziemski we Francji.

Możnaby już bodaj sporą bibliotekę zapelnąć literaturą o francuskim legionie cudzoziemskim. Najwięcej piszą o nim Niemcy—grube książki zapisują opowiadaniem o okrucieństwach, popełnianych nad nieszczęśliwymi legionistami; wydają pamiętniki kłamliwe, artykuły dziennikarskie fantazyjne; nie wystarcza im słowo pisane, bo, szczególnie w Alzacji i w Lotaryngii, i w Niemczech samych, urządzają odczyty publiczne i wygłaszają prelekcye uczone—gotowi są potworzyć katedry na uniwersytetach; wszystko to, aby wyperswadować poddanym swoim, Niemcom i nie Niemcom, że nie warto się zaciągać na służbę do francuskiego legionu cudzoziemskiego. Nie spostrzegają, że robią mu w ten sposób nader skuteczną reklamę.

Dużo stosunkowo pisali o legionie również i Francuzi, a po polsku mamy kilka pamiętników, z pomiędzy których dodatnio się wyróżnia dziełko kapitana Jagniątkowskiego, z którymby jednak mógł trochę, troszeczkę... popolemizować. Ale jakże tu — wyższa ranga! Kapitan J. przez legion tylko przeszedł, przesunął się... i wyniósł zeń nie nader miłe wspomnienie. Gdyby był jednak wysłużył w nim całe przepisane pięć lat i w nim dobił się stopnia oficerskiego, to.... ręczę za to.... pokochałby go był jak go każdy z nas, tych, którzy w nim przesłużyli i obronną ręką z pierwszego w nim „congé“ (okres pięcioletniej służby) wyszli, pokochał, i z ochotą wspominał spędzone w nim lata.

Niedawno temu, o mały włos, że nie wybuchła wojna między Niemcami a Francją z powodu sprzeczki o dezertarów z francuskiego legionu cudzoziemskiego. Po wielu pertraktacjach i mnóstwie sensacyjnych artykułów dziennikarskich, sprawa oddana została do załatwienia trybunałowi rozjemczemu w Haadze, który obydwom stronom zwaśnionym przyznał rację—naturalnie.

Czemże jest ten legion cudzoziemski? Chociaż ich jest mniej jak temu lat kilka, kilkanaście, ale znajdują się zawsze Polacy, których po przodkach odziedziczona zapewne żyłka awanturicza popycha do zaciągnięcia się do tego niezwykłego i niebanalnego wojska. Ku tychże więc nauce i przestrodze, a zarazem w nadziei, że niejednego zaciekawia może przygody Polaka za morzami, opowiem, jeżeli nie

świetnym i błyskotliwym stylem bajki, to, ot tak sobie, poprostu, ale szczerą prawdę, czem jest to wojsko cudzoziemców w służbie francuskiej i w jakimś sposobie dla Francji Dahomej zdobyli.

„Légion Etrangère“ francuska jest instytucją, pochodzącą z czasów bardzo dawnych. Wywodzi się ona od oddziałów wojsk cudzoziemskich w służbie królów francuskich. Teraźniejszy jej skład datuje się z lat 1831 — 2 i pierwotnie znajdowały się w niej bataliony włoskie, szwajcarskie, niemieckie... polskie. Pomieszano później narodowości z powodu rywalizacji i zatargów pomiędzy batalionami. Legion składa się z dwóch pułków, oba stacyonowane w Algierii, prowincji Oran. Zaciągnąć się można gdziebądź, we Francji — wystarczy życzenie swoje objawić pierwszemu lepszemu spotkanemu żandarmowi, aby ten amatora wojaczki zaprowadził do najbliższego biura rekrutacyjnego. Papiery żadne nie są potrzebne; co trzeba, to aby petent miał przepisaną miarę wzrostu (minimum, 1 metr 54 c.) i w piersiach, wiek stosowny, a głównie był zdrowy i silny. Francuzom zaciągać się wolno, ale jedynie tym, co czas swój w regularnym wojsku wysłużyli. Nie brak ich w legionie.

Po oświadczeniu w biurze werbunkowem zamiaru zaciągnięcia się, poddać się musi ochotnik nader dokładnym oględzinom lekarskim, po których, gdy go lekarz uzna za dobrego „*bon pour le service*“, podpisać mu dają akt zaciągnięcia się: „*acte d'engagement dans la Légion Etrangère*“. Położeniem

swego podpisu ochotnik zobowiązuje się do służenia przez lat pięć, wiernie i honorowo, w wojsku francuskim, gdziebądź uznają za stosowne władze go posłać, na lądzie stałym i na morzu, (z udoskonaleniem aeronautyki dodadzą zapewne wkrótce klauzulę, dotyczącą powietrza) i we wszelkich okolicznościach; poddaje się istniejącym przepisom i t. d., i t. d. Dużo tego jest. Od tej chwili, jest on żołnierzem.

Owóż żołnierza tego, zaopatrzonego w „*feuille de route*“, na mocy której płaci ćwierć ceny za bilet kolejowy, posyła się do Marsylii, nad morzem Śródziemnym, gdzie ma się stawić w oznaczonym czasie do fortu Ś-go Jana. Z chwilą przekroczenia zwodzonego mostu fortu i oddania „*feuille de route*“ sierżantowi, dowodzącemu odwachem, dostaje się świeżo upieczony legionista pod opiekę rzeczywistą władz wojskowych i traci wolność. Zmuszony jest w forcie przebywać, spać na obrzydliwym barłogu w towarzystwie nie zbyt dobrze, w przeważnej części, prezentujących się rekrutów do różnych afrykańskich pułków i ochotników do legionu, skrobać kartofle, dziedzińce rozmaite zamiatać i t. p. oddawać się użytecznym ale nie powabnym zajęciom. Spędza w ten przyjemny sposób czas, w forcie, do najbliższego czwartku, dnia, w którym wszystkich przybyłych ochotników do legionu prowadzą do okrętu mającego ich przewieźć do Oranu w Algeryi.

Po dwudniowej podróży morskiej, nie zbyt rozkosznej, bo się ani pierwszą, ani drugą, ani nawet

trzecią klasą nie jedzie, ale czwartą, bo piątej nie ma, przybija okręt do Oranu. W Oranie znowu przebywa się dni kilka w forcie, tym razem nie Ś-go Jana, ale Ś-jej Teresy, na podobnych, co w Marsylii, zajęciach i we czwartek znowu, raniutko, zaprowadzeni są ochotnicy, maszerujący już w ordynku przez miasto, na kolej, którą jadą, ci z I-go pułku do Sidi bel Abbès, ci przeznaczeni do II-go do Saïdu, dalej na południe, bliżej Sahary.

Za przybyciem do „*dépôt*“ swego pułku, żołnierz, po pysznej parowej kąpieli (*bain maure*), zostaje umundurowany i uzbrojony, i dopiero rozpoczyna się dla niego prawdziwa służba wojskowa. Początki są ciężkie, jak wszelkie początki. Przechodzi się szkołę rekruta, kompanii, batalionu, odbywa się warty, marsze... oj, te pierwsze stanie na szyldwachu w nocy, oj te pierwsze marsze!! Jednym słowem, żyje się życiem żołnierskim i uczy rzemiosła, ze szczególnem uwzględnieniem praktyki polowej.

Zwykle po odbyciu szkoły rekruta i zdaniu przepisane go egzaminu odsyłanym bywa młody żołnierz do batalionów i kompanii, konsystujących w różnych miejscowościach południowej Algeryi, na krańcach Sahary. Po roku służby dopiero, w miarę zapotrzebowania, wysłanym być można do Marokko, Tonkinu, Madagaskaru.

Służba jest nadzwyczaj uciążliwa, ale żołnierz wogóle traktowany jest dobrze przez oficerów i podoficerów. Jakaż byłaby zreszłą racya i logika do

maltretowania ludzi, z którymi lada dzień powołani są ich przełożeni do wzięcia udziału w wyprawie wojennej lub znaleźć się mogą odosobnieni na jakimś oddalonym posterunku. Zależność jednych od drugich jest zupełna. Pożywienie jest bardzo zdrowe, smaczne i wystarczające w garnizonach, gdy na wyprawach wojennych często się głodem przyмира. Żołd za to jest śmiesznie mały, niecałe dwie kopiejki dziennie w Algierzy, w koloniach cztery razy tyle.

Obok niemałej ilości ludzi o mętnej przeszłości, ukrywających w legionie pod przybranem nazwiskiem Bóg wie jakie naganne postęпки i zbrodnie nawet, znajduje się wielu takich, co się zaciągnęło do wojska, szukając jakich fantastycznych przygód, wypadków niezwykłych, wrażeń przejmujących... jednym słowem, awanturników w dodatkiem tego wyrazu znaczeniu. Należałem do tych ostatnich i, przyznam się, nie żałuję zmarnowanego czasu. Nikomu jednak nie radzę iść za moim przykładem, bo nie wielki jest procent tych, którym się uda wykpić z tych imprez na czysto, a ma się nieraz do znoszenia trudy wręcz nadludzkiej. W Algierzy pamiętam odbyte marsze straszliwe, na rozpalonym słońcu, etapy po 46 kilometrów, w piasku po kostki, mając do dźwigania tornister z ubraniem, bielezną i innymi przyborami, żywności na trzy dni, dwa litry wody w manierce, karabin i 13 paczek naboi—razem 30 kilogramów. W Tonkinie trzy czwarte kolegów moich poumierało od kul nieprzyjaciel-

skich, z chorób i wycieńczenia, a z Dahomeju, do kąd posłano nasz batalion, liczący dokładnie z oficerami 806 głów, wróciło nas żywych, z rannymi i chorymi 192. Padł dowódca batalionu i czterech kapitanów z pięciu.

Wszystkie narodowości mają swoich w legionie przedstawicieli. Najwięcej jest Niemców, starających się zawsze za Alzateczyków uchodzić, dużo jest Szwajcarów, nie brak Francuzów, a innych jest potrochu. Polaków zawsze się znajdzie kilku, czasem kilkunastu. Ci z nich, którzy z najgorszych, debiutowych czasów obronną wyjdą ręką, najczęściej dorabiają się stopni podoficerskich, nie rzadko oficerskich. Z przed 1890 r. odnalazłem w aktach pułkowych nazwiska: porucznika Świętorzeckiego, kapitanów: Rzewuskiego, Branickiego—niedawno zmarł major Bulharowski. Podoficerów Polaków znałem i z niektórymi ścisłą związanym byłem i jestem przyjaźnią: adjutantci Szafranski, Kotarski, Wostrowski, sierżant Sokołowski, kawaler legii honorowej, sierżant Maj, były porucznik artylerii w Niemczech i wielu, wielu innych.

Dziwne się tajemnice odkrywają nieraz w legionie, a ile ich ginie wraz z ich bohaterami?... przed przybyciem moim do wojska odnaleziono pod przybranym nazwiskiem, w mundurze prostego legionisty, jakiegoś biskupa, prawda, że „*in partibus infidelium*“, który był coś tam wobec władz kościelnych przeszkobał. Za moich czasów, ale nie znałem go osobiście, ukrywał się, również pod przybranym

nazwiskiem, kuzyn jakiś Wilhelma II-go, po którego zwłoki, gdy umarł, rząd niemiecki przysłał okręt wojenny do Oranu. Podczas kampanii dahomejskiej znajdowali się w naszym batalionie porucznik huzarów węgierskich, de Jekey, dymisjonowany za polityczne sprawy były kapitan kirasyerów francuskich, lekarz Belg i inni podobni eks-dygnitarze.

Każdy pułk legionu liczy około, raczej przeszło, 6,000 ludzi. Kto się doń zaciąga, powinien wiedzieć, że ma przed sobą dziewięćdziesiąt pięć szans na sto pozostawienia gdzieś, niewiadomo tylko gdzie, i skóry, i kości: legion bowiem zawsze idzie na pierwszy ogień, gdzie tylko jaki ogień jest. Jest to we Francji najdzielniejsze wojsko. Jemu to zawdzięcza ona jedną z rzadkich zwyciężek bitew w 1870 r., a mianowicie obronę Orleanu pod Lipkowskim, chociaż, podług prawa, legion nie może być używany we Francji. Okryły się te dwa pułki chwałą we wszystkich wyprawach kolonialnych: — w Meksyku, Indo-Chinach, Tonkinie, Dahomeju, na Madagaskarze, na granicy algiersko - marokańskiej i w Marokko.

Niemcy od lat prowadzą ząartą kampanię przeciw legionom, bo, po pierwsze, służy w nim i przepada dla Niemiec wielu Niemców, że rok rocznie idzie do legionu tysiące najlepszej młodzieży alzackiej i lotaryńskiej, wołającej tułać się po świecie i twardą i długą służbę w legionie od wysługiwania się zaborey i nareszcie dlatego, że stanowi on dla Francji dzielną siłę bojową.

Polacy używają w legionie dobrej sławy—doznałem tego zaraz po wylądowaniu w Oranie, gdy stary, zamaszty sierzant, wywołujący, uszeregowanych na wybrzeżu, nazwiska świeżo przybyłych ochotników, natrafiwszy na moje, z końcówką „ski“, zapytał mnie: „*Polonais?*“— „*Oui monsieur*“, odpowiedziałem.— Roześmiał się: „Tu nie ma panów“— rzekł—mówi się: „*Oui sergent*“ i dodał na wpeł do siebie „*Polonais, bon soldat*“. *Apprendra vite*, (Polak, dobry żołnierz, nauczy się prędko). I rzeczywiście, prędko się nauczyłem, co do nauczenia się było. Posłużyła mi dokładna znajomość języka francuskiego, ambicya, gimnastyka, którą zawsze bardzo lubiłem, a nadewszystko obecność w Saïdzie kilku żołnierzy, kaprałi i podoficerów Polaków, którzy bądź to radami życzliwymi, bądź to czynną pomocą, ułatwili mi najprzykrejsze do zwalczenia trudności początkowe nowego życia. Przebywszy szczęśliwie i prędko szkołę rekruta, (*école du soldat*), przeznaczony zostałem do 2-jej kompanii 1-go batalionu w Géryville, dokąd wkrótce wyruszyłem z małym oddziałem żołnierzy, dążących do różnych kompanii tegoż batalionu, pod dowództwem sierzanta-majora Kotarskiego. Sierzant-major wracał właśnie z wystawy paryskiej (1889 r.) dokąd za urlopem jeździł i też należał do 1-go batalionu. Biedny Kotarski: dokuczało mu, że włosy z głowy jego gromadnie emigrowały. Kupił na wystawie cudowny jakiś środek na porost włosów, którym gorliwie smarował sobie wierzchołek ogolonej czaszki. Jakież było jego zdumienie i roz-



pacz, gdy zamiast spodziewanych włosów rosnać mu zaczął na łysinie jakiś meszek o zielonawym odzieniu.

Przebywszy w Géryvillu kilka miesięcy, w trakcie których zdobyłem sobie insygnia, złota trąbka na lewym ramieniu, strzelca pierwszej klasy, wziąłem udział w rocznych wielkich manewrach, któreśmy odbyli hen, hen, w Saharze. Wracając z manewrów do Géryvillu, dowiedziałem się, że zostałem przeznaczony do wyjazdu do Tonkinu (listopad 1889 r.). Odbyłem więc „da capo“ piechotą, z nielicznymi towarzyszami, sześciodniową drogę z Géryville do Saïdu, skąd rozbrojeni, w 400 ludzi żegnani przez muzykę pułkową i sztandar, co mnie mocno rozrzewniło, pojechaliśmy koleją do Oranu. Z Oranu przewiózł nas okręt „Comorin“ w 45 dni, stając po drodze w Port - Saïd, Aden, Colombo, Singapour i Saïgon do Hai-Phong. Tam, bez wysiadania na ląd, przeszliśmy na rzeczny, z dużem kołem w tyle, stateczek, na którym dojechaliśmy do Hong-Hoa, gdzie było „dépot“ naszego nowego batalionu, 4-go. W Hong - Hoa uzbrojono nas na nowo, przebrao w mundury kolonialne i rozdzielono między cztery kompanie batalionu. Dostałem się do 1-ej kompanii, kapitan Grimal, stojącej w Yen-Bay nad Czerwoną rzeką, o kilka dni drogi od Hong - Hoa, bliżej granicy chińskiej. Przed wyruszeniem jednak do Yen-Bay otrzymałem pod Hong - Hoa chrzest ogniowy, w pościgu za bandą „piratów“ (yack, po annamicu), plądrujących okolice tego miasta.

W Yen-Bay zastałem zacnego Z. Szafrąnskiego, podówczas sierżanta.

Nie będę się rozpisywał o pobycie swoim w Tonkinie, gdyż ani mnie tam nic nadzwyczajnego nie spotkało i dużo już o tym kraju pisano (vide Jagniątkowski) lepiej niżbym ja potrafił. Krótko więc powiem, że blisko dwa lata przesiedział w Yen Bay, biorąc udział w częstych pościgach za piratami i potyczkach, w których, jest to tam regułą, na bandy liczące 300 — 400 ludzi posyłano nas stale oddzialiki po 20 — 25 legionistów. Klimat, szczególnie w wyższym Tonkinie, jest tak niezdrowy, że olbrzymi procent żołnierzy umiera na febrę, dysenterję, cholerę. Ciągłe się ma do czynienia z bandami piratów, rabujących i uprowadzających w niewolę anamickich „nia-quoué“ (chłopów), bandami, złożonych przeważnie z regularnych chińskich żołnierzy, przekraczających granicę dla rabunku. W Tonkinie przekonałem się, że oficer francuski, z nielicznymi wyjątkami, jest wykształcony, a co za tem idzie ludzki i uprzejmy, a nie ciemny i brutalny jakim go Niemcy przedstawiają. Jest odważny na zimno, co jest prawdziwą odwagą. Jednego tylko nie odznaczającego się tym przymiotem widziałem i on, zapewne jako nadzwyczajność, najwyższych później się dobił stopni, ale nie w legionie.

Przyszła wreszcie i na mnie kreska: dostałem razem febrę i dysenterję i odesłany zostałem małym parowcem, pełniącym służbę pocztową do szpi-

tala w Hanoï, gdzie przypytał się do mnie, poznany ongi w Genewie, inspektor milicyi Z. Knopf, kochany Warszawiak, którego przykład najwięcej wpłynął był na zaciągnięcie się moje do wojska. Knopf, wysłużwszy swój czas (*congé*) w legione, pozostał w Tonkinie jako oficer tamtejszej milicyi. Porósłszy w pierze, listownie, przez matkę swoją, postarał się o żonę, pannę Ł., też z Warszawy. Ślub brali w Genewie, (Szwajcarya) i tamże ich poznałem. Olsnił mnie był, (byłem jeszcze bardzo młody) mundur jego ze złotemi naszywkami, opowiadania i... wzięła ochota pójść za jego przykładem.

W Hanoï uznano, że nie mam co więcej robić w Tonkinie, wróciłem więc do Algieryi okrętem „Colombo“ jako chory, t. j. ze wszelkimi wygodami, wiktem wykwinnym i t. p. Z Algieru (miasto portowe, największe w Algieryi) wyjechałem do domu za trzymiesięcznym urlopem, później o jeden jeszcze miesiąc przedłużonym.

Z urlopem skończonym, gdy minęły, za prędko, piękne dni Aranjezu, wróciłem do Saïdu *via* Marsylia-Oran, ale już nie jako rekrut, „*un bleu*“, ale żołnierz prawdziwy. Udało mi się wkręcić do jakiegoś tam biura i wiodłem żywot bez troski, gdy przy końcu lipca 1892 roku dowiedziałem się, że postanowiona została wyprawa do Dahomeju, w której, naturalnie, bierze udział i legion. Zagrała we mnie krew i po zwalczeniu różnych trudności—byłem za młody—zostałem zapisany jako pierwszy żołnierz 1-iej klasy, bo zaawansowałem na tę godność

po powrocie z Tonkinu, na spisie nazwisk oddziału przeznaczzonego do Dahomeju.

Wyprawa zapowiadała się jako nader uciążliwa i minister wojny dał rozkaz obu pułkownikom, dowodzącym pułkami, z których się legion składa, aby starannie dobrali żołnierzy, jaknajzdrowszych, jaknajsilniejszych, i o ile możności, mężczyzn dojrzałych. Przewóz każdego żołnierza grubo rządził kosztem i jest to dla niego czystą stratą, gdy który za prędko zmarnieje! Aby ten swój rozkaz zadokumentować, polecił nie brać na wyprawę żołnierzy poniżej 22 lat. Ja byłem na granicy tego wieku, ale jej nie przekroczył byłem jeszcze i z tego powodu miałem różne trudności, zwalczone przy pomocy życzliwego mi kapitana, p. Brundseausc.

Legion dostarczył miał na dahomejską wyprawę jeden batalion, ochrzczony odrazu: „*Bataillon équatorial*“, na stopie wojennej, do którego wzięto 2 kompanie z 1-go pułku, 2 kompanie z drugiego. Z majorem (*chef de bataillon*) dowodzącym doszedł on do liczby 806 ludzi, dobranych, jak w kocu maku. Ochotników bo, pomiędzy żołnierzami, było bez liku, tak, że i lekarze wojskowi mieli z czego wybierać najtęższych i najzdrowszych i kapitanowie najlepszych. Dużo było amatorów do wyruszenia, bo legionistą zawsze, jak to mówią, coś kręci: wyprawa znaczy urozmaicenie, przemiana zawsze pożądana, wrażenia nowe, wszelkie spodziewane bitwy i może rabunek?... ten i ów (mało który zresztą) myślał o możliwym zdobyciu stopnia, medalu.

Za to kaprale, podoficerowie i oficerowie o tem tylko myślą i marzą: awans, odznaczenie. „Bo na wojnie świszczą kule“. Nikt naturalnie nie przewiduje, aby która z tych kul dla niego była przeznaczona, ale za to każdy, w głębi serca, a często bezwiednie, życzy jej temu znanemu lub nieznanemu, co mu w drodze do awansu stoi.

Dwie kompanie dostarczone przez pułk pierwszy dostały numery pierwszy i trzeci, przez mój pułk numery drugi i czwarty. Ja zostałem przydzielony do kompanii 4-ej, a że żołnierze ustawiani są według wzrostu (*rang de taille*), znalazłem się ostatnim na lewem skrzydle, jako z żołnierzy pierwszej klasy najmniejszy, mając jeden metr 63 cent. wzrostu od pięt do czubka głowy. U nas, w kraju, gdzie ludzie są słusznii, jest to raczej mały wzrost, ale we Francyi rachuje się jako średni i trzeba było tak dobranych między najtęższymi ludźmi, abym był z całego batalionu najmniejszy, będąc równocześnie i najmłodszym.

Batalion, jak każdy batalion, dzielił się więc na 4 kompanie, kompania na 2 plutony, pluton na 2 sekeye, sekeye na 4 eskuady (*bataillon, compagnie, section, escouade*) każda. Eskwadą (wołę tego dziko wyglądającego wyrazu używać, jak wyrazu niemieckiego „cug“) dowodzi kapral, zastępowany w razie potrzeby żołnierzem 1-ej klasy, godność, którą wtenczas byłem obarczony. Dwoma eskuadami (*demisection*) dowodzi sierżant, czterema, czyli sekeyą, oficer, porucznik albo podporucznik—jedną

z sekeyi dowodzi adjutant, najstarszy stopniem w kompanii — podoficer. Na czele kompanii stoi kapitan, a na czele batalionu major (*chef de bataillon*), mając do pomocy kapitana-adjutanta-majora. W taki sposób jest zorganizowany batalion i kompanie li tylko na stopie wojennej, bo na stopie pokojowej sekeyą dowodzi sierżant, a plutonem oficer. Sprawami żywnościowymi kompanii zajmują się sierżant-furyer i kapral, rachunkowością sierżant-major, najstarszy po adjutancie podoficer.

Po licznych więc oględzinach, pukaniach i stukaniach każdego z osobna żołnierza przez lekarzy naszych, po naradach oficerów (ci ostatni wyznaczeni są przez ministra bezpośrednio) kompanie każda z osobna i wreszcie batalion, ostatecznie ukonstytuowane zostały. Dostałem się do szesnastej (ostatniej) eskuady 4-ej kompanii; kapral mój, Belg, nazywał się Croquet; sierżant dowodzący moją półsekeyą Hirsch, Alzatezyk; porucznik sekeyjny Maurandy (syn generała), a kapitan Poivre, obaj Francuzi.

Zmieniono nasze uzbrojenie i umundurowanie: zamiast dobrego karabinu Gras, o jednym tylko strzale, dano nam po raz pierwszy karabin Lebel, magazynówki, zwane modelem 1886 r. z długimi, spiczastymi, trójkańciastymi bagnetami o pseudo-bezdymnych nabojach. Dano je nam, aby je zaraz odebrać i zapakować do specjalnych skrzyń, w których miały razem z nami podróż odbyć, aby się nam dopiero u kresu podróży w ręce znów dostać.

Mundury dostaliśmy bajeczne, nowiutkie, dobrze uszyte, leżące zgrabnie: ciemno-niebieskie „inexplicable“ flanelowe z czerwoną naszywką; mundur „moletonowy“, również ciemno-niebieski z czerwonymi wypustkami i miedzianymi guzikami z napisem „*Légion Etrangère*“, z dwoma kieszeniami u boków; kask korkowy biały; buty, a właściwie trzewiki sznurowane, zwane „*napolitains*“, z całą kopalnią grubych gwoździ pod podeszwami, samiśmy sobie w magazynie pułkowym wybierali i dobierali. Wedle wyrażenia jednego z kolegów, ubierano nas jak do tańca—a było to do tańca w istocie.

W międzyczasie rewii jednego po drugim oficerów i opukiwań lekarskich, legionieści pili na umór, ci, co wyjeżdżali, z góry sobie stypę pogrzebową urządzali, a pozostający, z żalu, że zostawali. Ci, co mieli pieniądze, pili za swoje, ci, co ich nie mieli, za pieniądze kolegów lub korzystając z dobrej woli znajomych sobie mieszkańców. Słowem, każdy znalazł gdzie się choć raz, co mówię, kilka choć razy upić jak bydłę.

Gdy wszystko zostało zorganizowane, oporzędzone, pokończzone i przygotowane na czas oznaczony, ruszyliśmy uroczyście, raniutko, pierwszego sierpnia 1892 r. z koszar w Saïdzie, po przez miasto w dół na kolej. Poprzedzały nas muzyka pułkowa (jedna z najlepszych we Francji), grająca po kolei piękny marsz legionu, marsylianekę i marsz „*Sambre et Meuse*“, pułkownik Gillet ze sztabem, na koniach i chorągiew nasza ze swoją eskortą ho-

norową. Otaczali nas pozostający koledzy i ludność miejska. Ci ostatni wtykali w ręce przechodzących żołnierzy to paczki tytoniu, to przysmaki różne, to flaszki napojów... rozgrzewających, to pieniądze. Krzyki, wrzaski: „niech żyje legion“, „niech żyje Francya“, „niech żyją Dahomejczycy“, „wracajcie zdrowi“, „bijcie mocno“, rozlegały się dokoła. Doszliśmy na dworzec kolei i po kilku słowach pożegnania i niepotrzebnej zachęty przez pułkownika, weszliśmy w porządku do wagonów, układając, wedle przepisu, tornistry w jeden kąt każdego przedziału i zajmując miejsca po porządku. Gdy pociąg powoli ruszył, pochyliła się na pożegnanie chorągiew pułkowa, zagrzmiała Marsyliancka, wzmogły się okrzyki; im się więcej pociąg oddalał i przyspieszał pędu, tem się niewyraźniejszy stawał gwar cały; dochodzą nas już tylko dźwięki muzyki, coraz to słabiej, coraz to niewyraźniej; turkot pociągu bierze nad nimi górę, zagłuszając na chwilę wszystkie inne aż któryś z żołnierzy na całe gardło intonuje piosenkę:

„Meunier, tu dort, ton moulin va trop vite,
„Meunier, tu dors, ton moulin va trop fort”.

a za nim cała gromada śpiewa.

Saïdzie, do widzenia!

W Oranie przyjęto nas również entuzjastycznie jak w Saïdzie żegnano; na dworcu, dokądeśmy przed wieczorem zajechali, oczekiwała nas muzyka

stacyonowanego w Oranie 2-go pułku żuawów i przy okrzykach licznie zgromadzonej publiczności zaprowadziła nas, przygrywając marsze, do przeznaczonych nam na kwatery, chwilowo próżno stojących, koszar artylerii, właściwie baraków. Zastaliśmy tamże kolegów z pierwszego pułku, przybyłych wcześniej o godzin kilka przed nami i dowódcę naszego, majora Faurase, z 1-go pułku oficera.

Rozmieszczono nas po barakach; roztasowaliśmy się i przeważna część kolegów udała się do „kantyny“ (szynk koszarowy), aby z szklanką w ręku zawrzeć znajomość z nowymi towarzyszami przyszłych bojów i przygód. Co do mnie, ledwie się trochę uporządził i rozlokował się naokoło przeznaczonego dla mnie legowiska, gdy sierżant dyżurny zawołał mnie do kapitana mojej kompanii, który mi dał rozkaz udania się do miasta, do tego i tego hotelu, gdzie mieszkał nasz komendant, i oddania się do jego rozporządzenia jako „planton“. Każda kompania zobowiązana została do wysłania mu po jednym żołnierzu pierwszej klasy dla przesyłania przez nich kapitanom ewentualnych rozkazów i poleceń. W ten sposób upiekło mi się doskonale, bo, zamiast być, jak koledzy, męczony rewiami i służbą, przesiadziałem sobie wraz z trzema kolegami przez pięć dni w kawiarni hotelowej, zanosząc od czasu do czasu bądź to list, bądź to ustne jakie polecenie do mego kapitana lub do innego z oficerów mojej kompanii. Resztę wolnego czasu przepędzaliśmy bądź to grając w karty, lub czytając gazety, bądź wreszcie roz-

prawiając „*de omnibus rebus et quibusdam aliis*“. Jedzenie w hotelu dostawialiśmy wspaniale, a co chwila któryś z gości kawiarnianych prosił nas o pozwolenie „poczęstowania czemkolwiek“. „Pékins“ (cywilni) dumni byli gdy mogli z Dahomejczykami, tak nas nazywano, rozmawiać. Wieczorami, zamiast do koszar wracać wprost, spacerowaliśmy sobie po mieście, które jest oryginalne i godne widzenia, szczególnie „*quartier juif*“ (żydowska dzielnica) „*casbah*“ (forteca z czasów arabskich) i inne osobliwości. Wieczorami jednak najciekawsze są żydowska dzielnica i zdegradowana forteca, zamieszkała przez mieszaninę Arabów, Murzynów, Marokańczyków, żydów algierskich, pomiędzy którymi spotyka się zachwycające, cudnie piękne dziewczęta, zanadto prędko jednak starzejące się gdyż często 16, 18-letnie kobiety staremi się wydają.

Komendant nie dokuczał, przeciwnie, od czasu do czasu, przechodząc, rozmawiał z nami po przyjacielsku; był to mężczyzna w sile wieku, ale młodo wyglądający, słuszny, barczysty, szykowny. Nie wiedział biedak, że życie jego dobiega kresu swego; widziałam raz czy dwa razy żonę jego, młodą, bardzo przystojną i miłą kobietę i dwoje dzieci, małych jeseze.

Zbliżała się chwila odjazdu. Wieczorem 5-go sierpnia oświadczył nam komendant, że nie mamy już potrzeby fatygować się na drugi dzień. Zrozumieliśmy co to znaczyło i faktycznie 6-go sierpnia rano dowiedzieliśmy się, że okręty, mające nas za-

brać, mają lada chwila przybyć. Uporządkowaliśmy „ruchomości” nasze, pozapinali sprzączki u torni- strów, spożyli ostatnie, na długo przynajmniej dla niektórych, na zawsze dla większej części, śniada- nie w Oranie i na odgłos trąbki dającej sygnał „ras- semblément” (zgromadzenie) opuściliśmy baraki i uszykowaliśmy się w ordynku, kompania za kom- panią, z oficerami na swoich miejscach a z kome- dantem na czele. Na dany rozkaz, muzyka żuawów zagrała marsza legionu, a myśmy ruszyli, lewą nogą naprzód. Ulice, przez któreśmy przechodzili zalega- ły tłumy: mężczyźni, kobiety, dzieci krzyczeli nam pożegnanie, życzenia powrotu, powodzenia i „niech żyje legion“, „niech żyją Dahomejczycy“, „niech żyje to, owo, i tamto, i ten“. Podobnie jak i w Saïdzie, wei- skano nam w ręce dary rozmaite, tytoń, cygara, pa- pierosy, czekoladę, butelki wina i wódki, pienią- dze. Maszerowaliśmy po czterech, a że byłem osta- tni z kompanii ostatniej i sam jeden w swoim sze- regu, trudno mi było chwilami przez tłum się prze- cisnąć, aby dystans odpowiedni zachować. Obdaro- wano mnie tytoń, czekoladą i cukierkami... z cze- go byłem bardzo zadowolony, ale co mi się bar- dziej jeszcze podobało, to kilka całusów pocziwych, złapanych po drodze od kilku „ma foi” ładnych dziewcząt — od innych się odwracałem. Podkręca- łem zwycięzko wąsa, który, ku wielkiej mej rozpa- czy, był wtenczas bardzo jeszcze mało widoczny.

Dochodząc do portu skręciliśmy na prawo, podczas gdy trzy pierwsze kompanie szły wprost,

one bowiem pojechać miały okrętem „Mytho”, gdy my wsiadaliśmy na okręt „Ville de San Nicolas”. Przy pomoście okrętu naszego czekał już generał Metzinger. Na jego rozkaz uszykowaliśmy się we dwa sze- regi frontem do okrętu. Będąc ostatnim w pierwszym szeregu, rzuciłem w chwili równania frontu okiem na prawie już uszykowaną i nieruchomą kompanię i... dalibóg, uczułem pewną dumę, że jestem jednym z tych, tak to wszystko miniało i zamasztyło wy- glądało, taka siła biła od tej gromady żołnierzy, tak to rycersko, wojowniczo patrzyło.

Generał kazał nam otoczyć się kołem i poc- ciwie a z uczuciem przemówił do nas w ten sens, że wie, iż legionistów do waleczności zachęcać nie potrzeba, że wstydu chorągwi nie przyniesiemy, ogranicza się więc na życzeniu nam dobrej podróży i najliczniejszego powrotu. Uścisnął rękę kapitana, kilku oficerom, podoficerom i żołnierzom i dał nam ostatni rozkaz wchodzenia na okręt: „Embarquez”.

W godzinę potem, oba okręty ruszyły pospołu w kierunku Gibraltaru.

II.

Amazonki króla Behanzyna.

Zorganizowaliśmy się na okręcie odrazu. Starzy żołnierze, wiedzieliśmy co i jak potrzeba robić, co wolno a czego nie można. Dostaliśmy każdy swoje „couchette” (łóżko), z siennikiem i poduszką, sklecone z desek i wyglądające jak trumna, ułożone jedne nad drugimi we dwa rzędy wysokości wzdłuż ścian i stojące długimi szeregami od ściany do ściany, wyobrażając uliczki wąskie o prostych kątach, przy których niby domy figurowały łóżka. Sami naznaczyliśmy pomiędzy sobą kolej do czyszczenia, stania na warcie, skrobania kartofli i wszystkich innych funkeyi, o których wiedzieliśmy lepiej od naszych oficerów, którzy wszyscy po raz pierwszy w ten sposób podróżowali, podczas gdy między na-

mi, żołnierzami i podoficerami, nie było ani jednego, któryby choć jednej tego rodzaju przeprawy morskiej nie odbył. Skorzystaliśmy więc z nieświadomości, a po części i dobroćliwości, naszego kapitana, aby zredukować do „minimum” zajęcia i pracę, zadawalniając się utrzymaniem, ale wzorowej czystości w naszych kwaterach i spełnianiem koniecznej, tradycyjnej służby szyldwachowania przy „mèche”.

Na okręcie, pod pokładem, palić jest surowo wzbronione, jak również nie tylko zaświecać, ale w ogóle posiadać przy sobie zapaliki — zakaz słuszny bardzo ze względu na pożar, wcale nie pożądany na morzu. Że jednak na pokładzie wolno palić papierosy, fajkę lub cygara, koło wielkiego masztu, w miejscu, przepisami oznaczonym, wisi „mèche“ t. j. kawałek tlejącej się liny, przy której zapalać można papierosy etc. Obok tej to „mèche“ stać musi szyldwach, mający dawać baczenie, aby nie zgasła, aby jej kto nie zabrał i t. d. Staliśmy więc po kolei, ale jest to wszystko, cośmy pod względem wojskowej służby mieli przez całą drogę do czynienia. Mnóstwo pozostającego wolnego czasu obracaliśmy na pranie bielizny, co jest sztuką na okręcie, gdzie woda słodka jest nader skąpo wymierzana a w słonej prać nie sposób — na wyśpiewywanie chóralne opowiadanie niestworzonych bajek, na... granie w karty, w modzie była wówczas gra zwana trzydzieści jeden, wreszcie na urządzenie od czasu do czasu przedstawień teatralnych lub koncertów, na których

najlepiej bawili się ci, którzy w nich czynny udział brali.

Gadania więc między nami było dużo i opowiadało się Bóg nie wie co, aż tu rozeszła się pogłoska, że wojować będziemy z amazonkami. Amazonki... co to takiego? Zainteresowały mnie one bardzo. Nie wydawało mi się wcale pożądanem walczyć... z kobietami. A pfe! I do tego niektórzy z kolegów o bujnej wyobraźni — bo nikt, ani oficerowie nasi, ani załoga okrętu, nie wiedział właściwie nic o owych amazonkach—opowiadali, że są one młode i ładne. Jakże tu strzelać, albo na bagnety iść... na młode i ładne kobiety! Nie może być!

Dojechaliśmy do Dakaru (Senegal francuski). Okręty nasze, bo Mytho wkrótce po nas nadjechał, zawinęły do portu mając po za sobą wysepkę Gor'ée, na której znajduje się szpital wojskowy i inne rządowe budynki. Z okrętu miasto przedstawia się po nętnie: pas piaszczystego wybrzeża, a za nim las zielonych palm, z pomiędzy których wystają białe domy o płaskich dachach ze świecącej blachy. Port obszerny i wygodny. Gdy tylko nasze dwa okręty zarzuciły kotwice i przymocowane zostały do brzegu za pomocą potężnych lin, wnet jęło do wody skakać mnóstwo przepysznie zbudowanych murzyniłek o skórze aż lśniącej od czarności i pływając naokoło okrętów z okrzykami „p'tit sou, p'tit sou.“ Gdy który z nas rzucił jaką drobną monetę do morza wnet ją w przezroczystej aż do samego

dna wodzie wytropili, łapiąc zanim dna dosięgła; czasem się w paru albo w kilku za jedną monetą rzucali i bili się pod wodą o zdobycz.

Udzielono nam pozwolenia wylądowania, z tem zastrzeżeniem, abyśmy się przyzwoicie zachowywali burd żadnych nie wszczynali i co wieczór na apel o g. 9-ej byli z powrotem na okręcie. Skorzystałem z tego, aby cały mój zapas bielizny wyprać, wykąpać się samemu — gorąco w Dakarze co się zowie—i miasto, z bliska daleko gorzej wyglądające, dokładnie zwiedzić. Osobliwego niema nic w Dakarze — trochę budynków rządowych, kościoł, koszary, domy dla oficerów i urzędników, kilka domów prywatnych i sklepów—wszystko to białe, białe — i lepianki krajowców. Kobiety, mężczyźni i dzieci zbudowane jak na urząd, wysocy, sztywni, tędzy... ale twarze brzydkie, powykrzywiane jakoś, nosy spłaszczone i czarne, czarni, jakby wyglansowani.

Przebyliśmy w Dakarze dni cztery, pozostawieni, na oko, samym sobie, i nikt z nas z tej swobody względnej nie skorzystał, aby się dopuścić jakiego wybryku karygodnego, co jest dowodem, że komendant Faurax wiedział, jak z legionistami postępować należy. Jadaliśmy w koszarach spahisów, część dnia spędzając w różnych zakątkach, leżąc w cieniu drzew palmowych, czasem... zaglądałiśmy do szynków, ale rzadko, bo wszystko tam za drogie było na nasze kieszenie.

W niedzielę poszedłem z Sozańskim, kolegą z mojej kompanii i Raczyńskim, z kompanii 2-iej, do kościoła; zabawiły nas murzynki, aż lśniące tak czarne były, idące do kościoła z minami wielce poważnymi, z książkami do modlitwy w czarnych łapkach a pouhierane pstro... ale to tak, że aż oczy rwało, w czerwone, jakieś dzikie, niebieskie, zielone, pomarańczowe o nigdy przedtem niewidzianych odcieniach suknie... i to wszystko skrojone, proszę bardzo, „a la mode de Paris“, z przed lat Bóg wie ilu. To samo z kapeluszami dziwnymi i—boso. Wieszniaczki nasze choć w ręku buty noszą, idąc do kościoła, ale te damy — bo damy, o obuwiu ani myślały. A jak majestatycznie się witały i poważnie kroczyły, mało cośmy się nie pokładali ze śmiechu.

W czasie pobytu naszego w Dakarze, dostaliśmy na towarzyszy dalszej podróży oddziały czarnych wojsk kolonialnych, szwadron spahisów (jazda) i kompanię strzelców senegalskich (piechota). Żołnierze dzielni, oddający wielkie usługi pod dowództwem swoich francuskich oficerów, zanieczyścili i uszczuplili nam miejsca na okręcie tak, że podczas drugiej części podróży byliśmy daleko więcej krępowani, jak podczas pierwszej połowy. Najwięcej na niższym pokładzie miejsca zabrały konie spahisów. Znosić jednak trzeba było, a od czegoż filozofia, gdy na co niema rady!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę wypoczęci i podkarmieni, bo na okręcie pożywienie było niżej wszelkiej krytyki: jadłospis obejmował fasolę, fasolę i fa-

solę, w wodnistym sosie gotowaną, do znudzenia, mięsa mało i często nie do przełknięcia. Teraz podobno lepiej jest żołnierz odżywiany podczas morskich przepraw, ale podówczas było zupełnie źle.

Oprócz wypoczynku i podreperowania żołdaków, wynosiliśmy również z Dakaru pozytywne dane i wiadomości o dahomejskich amazonkach. Dowiedzieliśmy się mianowicie, że istnieją one doprawdy i że stanowią straż przyboczną Behanzyna, króla Dahomeju, na którego wojenne wezwanie wysłał nas, by odpowiadać rząd francuski. Rekrutowane były w ten sposób, że gdy gdzie na przestrzeni terytoriów, podlegających władzy Behanzyna, urodziła która kobieta zdrową i silnie zbudowaną dziewczynę, urzędnicy królewscy przeznaczali tę ostatnią do korpusu amazonek. Gdy ją matka odhodowała, w czwartym lub piątym roku życia, zabierano dziecko na rzecz króla, pod którego okiem i kosztem otrzymywała dziewczyna dalsze wychowanie. Podoficerowie francuscy i senegalscy podróżujących z nami spahisów i strzelców dziwy rozpowiadali nam o tych żołnierzkach. Ćwiczone od małości, miały być one niezwykle silne i wprawne w robieniu bronią, odważne i okrutne. Naczelnym wodzem amazonek był sam król; namiestników swoich między niemi wybierał. Mężem i oblubińcem ich również był w pierwszej linii król; gdy chciał kogo, ministra którego, lub innego znakomitego męża łaską swoją zaszczyścić, obdarzał go amazonką, wykreślając ją jednak równo-

częściej z szeregów: niejedna podobno wolała popełnić samobójstwo, niżeli szeregi opuścić.

Senegalczycy, mimo, że zuchwali żołnierze, z pewnego rodzaju lękiem odżywiali się o Dahomeju. W czasie długich godzin próżnowania na okręcie, wiozącym nas i nasze fortuny, nasłuchaliśmy się bez liku opowiadań o amazonkach, o Dahomeju o stolicy jego Abomey'u, w której nigdy jeszcze noga Europejczyka nie powstała, o potędze niezwalczonego nigdy dotąd króla Behanzyna, o wojskach jego dobrze uzbrojonych, wyewiczonych a licznych, o tysiącach jeńców wojennych, poświęcanych bogom na jednym posiedzeniu, tak, że krew ich strumieniem ściekała, o torturach wymyślnych, zadawanych jeńcom, o borach rozległych, rzekach wielkich, bagnach nieprzebytych. Tyle nam nakładli w uszy, że w końcu, nie dziwnego, iż niejeden z nas doznawać zaczął jakiegoś niewyraźnego uczucia. Intrygowano nas to wszystko, zaciekawiało ale i... potrochu hamowało zapał; a byliśmy przecie wszyscy, bez wyjątku, wytrawnymi i oswojonymi z ogniem i koloniami żołnierzami. Poszczycić się mogłem tem, że byłem z całego batalionu legionu cudzoziemskiego—wysłanego na tę kampanię — najmłodszym, bo liczby lat, przepisanej, 22, dobiegłem w sam dzień wejścia w Oranie na okręt, a miałem już za sobą dwuletnią kampanię w Tonkinie, gdzie nieraz proch wahałem. Każdy z moich kolegów nosił na piersiach po dwa, trzy medale pamiątkowe, świadczące o wziętym przez niego udziale w rozmaitych wy-

prawach kolonialnych. Tym to starym i odważnym żołnierzom zaczął się cały Dahomej bardzo podejrzany wydawać.

Nie pomnę, w ile dni dokładnie po wyjeździe z Dakaru, wylądowaliśmy w Kotonou, na afrykańskim wybrzeżu, własność króla Toffa, przyjaciela i protegowanego Francyi—nigdy jednak nie zapomnę sposobu wylądowania.

Wzdłuż całej linii wybrzeży, zwanych: „Wybrzeże Złota i Wybrzeże Niewolników“ (Côte d'Or i Côte des Esclaves) istnieje dziwne i dotąd dokładnie nie wytłomaczone zjawisko: jest to t. zw. „barre“, fala, dochodząca do wysokości 20-tu do 30-tu czasem metrów, uderzająca z olbrzymim impetem i siłą o wybrzeże, aby się o nie rozbić i, aby natychmiast zastąpiła ją inna, ta znów inna i tak w nieskończoność. Za falą, mającą się o wybrzeże rozbić, nadchodzi już gotowa, oddalona od niej o 60-ąt, 80-ąt metrów, druga, a za tą drugą trzecia tak, że, chcąc wylądować, trzeba przebyć te trzy góry wodne jedną po drugiej.

Z powodu tej „barre“ okręty zmuszone są przystawać dosyć daleko od wybrzeża. Wylądowuje się w łodziach, poruszanych wiosłami przez tubyleców szczepu „Mina“, oddających się specjalnie i jedynie temu niebezpiecznemu rzemiosłu.

Dla zaradzenia niebezpieczeństwu i niewygodzie, dla ludzi i towarów, lądowanie w tych warunkach, zbudowali w Kotonou Francuzi t. zw. „wharf“, t. j. pomost z żelaza i desek, idący w morze wyso-

ko po nad i daleko po za „barre“ tak, aby okręty mogły wprost doń przybijać. Gdyśmy jednak do Kotonou przyjechali, „wharf“ był dopiero na wpół ukończony, tak, że musieliśmy wylądować w sposób następujący: do łódek (baleinières) wchodziło nas, wedle ich wielkości, po 10 ciu do 15 ludzi. Łodzie podjeżdżały do pierwszej, w stosunku do wybrzeża trzeciej fali, dawały się przez nią unieść, wyprzedzały ją, wpadały pomiędzy trzecią a drugą falę, pomykały naprzód aż gdy je uchwyciła druga fala, po nad którą dochodził koniec pomostu. Chodziło więc o to, aby w chwili gdy się łódź znajdowała na samym szczycie drugiej fali, uchwycić, ale prędko, sznur z węzłami, zwisający z pomostu, bo łódka, w mgnieniu oka zapadała w głąb, aby znowu podejść do góry. Gdy kto dosyć wysoko uchwycił zwisający sznur, dla tego wdrapanie się na górę było już bagatelą, ale gdy, jak mnie się przytrafiło, udało się chwycić za sam koniec sznura, a tu łodzi już nie było, a ja musiałem się trzymać i wznosić do góry li tylko rękoma, wiedząc na dobitkę, że gdybym puścił, to oprócz poważnego niebezpieczeństwa utonięcia grożą mi zęby tysięcy rekinów — nigdzie ich nie ma tyle co na tem wybrzeżu—zimno mi się robi na samo o tem wspomnienie. Wygramoliłem się jednak szczęśliwie i wkrótce znalazłem się na pomoście, przypatrując się wysiłkom następujących po mnie towarzyszy.

Zaraz po wylądowaniu przewieziono nas w krajowych łodziach z Kotonou do Porto-Novo, gdzie

się zebrał cały nasz korpus pod dowództwem pułkownika Doods, z piechoty morskiej. Było nas mniej więcej trzy tysiące ludzi: batalion legionu, liczący osiemset żołnierza, bateria artylerii górskiej 80 m/m., kompania piechoty morskiej (infanterie de marine) a reszta strzelcy senegalscy i spahisi, również senegalscy.

Zakwaterowano nas po za miastem, w barakach, okrytych liśćmi palmowymi. Urządziwszy sobie legowisko i oporządkowawszy się, co jest koniecznem po takiej podróży, wyszedłem z paru kolegami na miasto. Porto-Novo, założone przez Portugalczyków, zamieszkane jest po części przez mieszkańców: Portugalczyków z czarnymi, mówiących gwara, w której odszukać można wiele, przekreconych fatalnie, wyrazów portugalskich. W krajowem narzeczu Porto-Novo nazywa się Assen. Jest to miasto rozległe, liczące blisko 50.000 mieszkańców, białych, czarnych i czekoladowych. Jest ono zbudowane w kształcie łuku, długie i wąskie i przedstawia się bardzo ponętnie z powodu rosnących wszędzie drzew palmowych, mangowych, serowych, bananowych, z pośród których sterczą budynki rządowe i domy Europejczyków, bo chat tubylców aui widać z pośród zieloności. Odwiedziliśmy w jego pałacu (sic) króla Toffa, przyjaciela i protegowanego Francji, dla którego, po części, bo decydującą przyczyną wojny byli misyonarze i handlarze, Francya przedsiębrała wyprawę na Behanzyna. Siedział sobie jego królewska mość, czarny, o potężnym

brzuchu jegomość, na niewymateracowanym czerwonym, drewnianym fotelu i każdemu z nas, podając rękę, powtarzał wyuczony na pamięć frazes: „*Bo... jou, mosieu, vive la France*“ (Dzień dobry, panu, niech żyje Francya), poczem jego pierwszy minister podawał odwiedzającemu kieliszek koniaku. Przypuszczam, że prędko musiał zaprzestać tego częstowania, bo by mu cały majątek nie wystarczył na napojenie legionistów.

Spędziliśmy w Porto-Novo dni kilka, podczas których zorganizowany został nasz korpus. Podzielono go na trzy grupy, mniej więcej równej siły, nad którymi dowództwo objęli komendanci (chef de bataillon, po polsku major). Moja kompania weszła w skład grupy trzeciej, wraz z kompanią strzelców senegalskich i sekcją artylerii (2 działka) pod dowództwem porucznika.

Korpusem dowodził naczelnie pułkownik Doods, nota bene rodem z Senegalu, syn murzynki i Francuza; do pomocy i ewentualnego zastąpienia go miał przy sobie podpułkownika Grégoire. Szefem sztabu był niezrównanej odwagi komendant Gonard, z piechoty morskiej. Pierwszą grupą dowodził kom. Riou, drugą kom. Faurax z legionu a trzecią kom. Lasserre, z artylerii. Wszystkie te nazwiska przełożonych swoich, od kaprała do ministra wojny, żołnierz każdy znać powinien na pamięć, jak pacierz. Kapelan korpusu nazywał się „abbé“ Vathelet i był podobno eks-oficerem kirasyerów.

W Porto-Novo udało mi się przypadkiem przeprowadzić nader korzystną facyendę: gdy stałem opodal ogniska kuchennego mojej eskuady — bo od Porto-Novo zacząwszy każda eskuada kuchnię osobno prowadziła — jałem się bawić podrzucaniem w górę i łapaniem mosiężnego guzika od munduru, aż tu murzyn jakiś, poddany króla Toffa, zaczął mi na migi pokazywać, że da mi kurę w zamian za guzik. Również na migi przystałem na jego propozycję i po chwili, za cenę kilku guzików, ujrzałem się na czele kilku wspaniałych kur. Koledzy naturalnie poszli za moim przykładem i wkrótce w rondlach każdej eskuady mojej kompanii gotowały się kury, gdy Toffanisi jak skarbem jakim cieszyli się naszymi miedzianymi guzikami.

Z powodu kur tych spotkała mnie przygoda, normalnie grożąca nader nieprzyjemnem zakończeniem, a która się dla całej mojej eskuady obróciła na dobre. A mianowicie z zakończeniem podróży rozpoczęliśmy tryb życia „*de l'armée en campagne*“ (wojska w polu) t. j., że każda eskuada stanowi niby rodzinę, sama się o siebie, w przepisanych granicach, troszczy, sama się zajmuje swoją kuchnią, otrzymując prowianty w naturze i t. d., i t. p. Regulaminowo każdy powinien się po kolei przez 24 godzin kuchnią zajmować. Aby więc dać dobry przykład, jako żołnierz I-ej klasy, rozpocząłem kolej; wziąłem się do gotowania i dnia tego właśnie trafiła mi się gratka z kurami. Ucieszony, że kolegów uraczę, oskubałem starannie owe kury, ale... nie po-

myślałem, a bodaj czy wiedziałem nawet, że potrzeba to robić, wypaproszyć je. Powstał z tego powodu gwałt, bo kury naturalnie, były nie do zjedzenia, tembardziej, że były, zdaje się, i niedogotowane, gwałt zakończony tem, że kolega Rossi objął raz na zawsze kierownictwo naszej kuchni, w zamian za pewne umówione ulgi w służbie, pomoc i trochę powiększoną, naszym kosztem, porcyę „tafia“ (wódka, pędzona z trzciny cukrowej).

A kolega Rossi był ni mniej ni więcej, tylko eks „chef“ (naczelný kucharz) u kardynała jakiegoś w Rzymie!

Rossiego do legionu zapędziła miłość. I kucharzowi kochać się wolno! Miłość nieszczęśliwa, rozumie się. Czarnooka Rzymianka, przedmiot jego zapalów, zdradziła go haniebnie dla „bersagliera“ (piechota włoska), wyludziwszy od niego wprzód wszystko, co posiadał. Rossi się rozpił, zaniedbał swe obowiązki, a gdy kilka razy przypalił czy przydymił „risotto“ kardynalskie, stracił służbę i z rozpaczycy zaciągnął się do legionu.

Od tego dnia nie było od nas, co do „wyżerki“ szczęśliwszych w całym korpusie. Z niczego umiał jeszcze Rossi coś, że „palce oblizywać“, sporządzić. Żyliśmy więc jak hrabiowie (jak ci, co dobrze zajadają!) póki rzeczywiście nie przyszło do tego że... nie, ale to nie już nie było ani do gotowania, ani do smażenia. Ale to później trochę.

Skończyły się więc dla nas jazdy koleją, okrętem lub łodziami. Z Porto-Novo wyruszyliśmy pie-

chotą i trzydniowym marszem, w cieniu olbrzymich lasów, z ledwo widzialnymi ścieżkami, w kilku osobno maszerujących kolumnach, doszliśmy do Dogba, u zbiegu rzeki Ouemé, z trzęsawiskami, ciągnącemi się aż do morza. Dogba znajduje się na granicy Dahomeju i tu spotkali naszego pułkownika posłańcy Behanzyna z listem, zawierającym zakaz posuwania się dalej i najstraszliwsze groźby, w razie nieusłuchania.

Stanęliśmy w Dogba obozem, jak zwykle, w kwadrat, jeden bok oparty o rzekę Ouemé, trzy o las, wykarczowany na znaczną odległość. Tu miał stanąć fort, punkt oparcia naszego korpusu. Budowali go, pod kierunkiem oficerów inżynierii, czarni tragarze, poddani króla Toffy, których tenże nam do pomocy nieskąpo udzielił. Każda eskuada miała ich po kilku do niesienia pakunków żołnierzy i w tej jednej, wyjątkowo, wyprawie wojennej, odbywaliśmy marsze, mając do dźwignania jedynie broń naszą, amunicyę, manierkę dwulitrową i trochę żywności w torbie (musette), koce, płótna namiotowe, ubrania zapasowe i bieliznę nosili przydani nam tragarze.

Obóz, zbudowany w czworobok, miał w pierwszej, zewnętrznej linii, bok oparty o rzekę, jedną kompanię legionu; dotykające go boki z prawej strony dwie kompanie legionu, z lewej jedną, czwartą, moją kompanię; bok czwarty, naprzeciw tego od rzeki, kompanię piechoty morskiej; w przerwach artyleryę; w drugiej linii kwaterowali strzelcy sene-

galsecy, dalej kawalerya (spahisi), impedimenta, pułkownik i sztab.

Budowa fortu postępowała nader szybko: już konwoje dowoziły doń z Kotonou i Porto-Novo żywność i amunicję, mające nam być w ciągu kampanii w miarę nadsyłane, a my już do dalszej drogi szykowaliśmy się, zapelniając czas rekonesansami w lasy i wzdłuż rzeki o 5, 10, 15 kilometrów w koło, rekonesansami, które jednak nie szczególnego ani znały, ani spostrzegły.

Aż 19-go września wymarsz zapowiedziany został na drugi dzień.

Wieczór dnia tego spędziłem na rozmowie z kolegami, siedząc kółkiem przy namiotach, rozmowie cichutkiej bo o 8-ej wieczór ogień się zagaszalo i nie wolno było żadnych hałasów czynić; położyłem się spać około 11-ej w nocy i rano, wstawszy o kilka minut przed pobudką, na wpół ubrany, myłem sobie twarz i ręce o dwa kroki od mego namiotu. Zabrzmiała pobudka, a że mieliśmy tego dnia wyruszyć, uraczono nas pobudką „en fanfare”, t. j. że brały w wykonaniu onej udział trębacze spahisów na trąbach grając (trompettes), trębacze nasi na trąbkach (clairons) i piszczałki (fifres) których miały, według pruskiego modelu, kilka, kompanie legionu z 1-go pochodzące pułku. Pobudka tak wykonana bardzo ładnie brzmi i słuchałem jej, podniósłszy ociekającą wodą głowę do góry, zabrzmiała ostatnia nuta i, nim przebrzmiała, w tej samej chwili, w tej samej sekundzie, zagrzmiała potężna palba ka-

rabinowa ze strony lasu, w bok obozu, wprost przeciwnej rzece.

Przyczajeni Dahomejczycy wysłuchali ładnej muzyki i uderzyli na obóz.

Krzyknąłem „aux armes“ (do broni), skoczyłem ku namiotowi, nie obcierając twarzy i pochwycałem za pas z nabojami i bagnietem jedną ręką, za karabin drugą i udałem się wprost na miejsce mojej eskuadzie, w razie napadu, wyznaczone. Kapral mój był, wyjątkowo w legionie, trochę niedołągą, kręcił się na miejscu, nie mogąc sobie rady dać. Zastąpiłem go, co zresztą od samego sformowania kompanii robiłem, szykując prędko ludzi i nakazując spokój. Nie miałem z nimi kłopotu, bo nie wzruszyli się wcale, a kucharz nasz—godny nieśmiertelności Rossi — dał tego poranku dowód, że był nie tylko najlepszym, ale i najodważniejszym z kucharzy. Kuchnie nasze ułokowane były wzdłuż, ale na zewnątrz, linii obozowej, każda naprzeciw miejsca przez eskuadę jej zajętego. Rossi zabrał się do przygotowania kawy dla nas chwilę przed pobudką, gdy Dahomejczycy zaatakowali, woda mu się właśnie gotować zaczęła. Wśród piekielnego wrzasku Dahomejczyków i strzelaniny, przelał z najzimniejszą krwią wodę z rondla do rondla, przeceedził, pocukrzył, pomieszał — będąc wystawiony więcej od nas, bo w pierwszej linii i stojący osobno, na ogień nieprzyjacielski i na nasz ewentualnie, ujął nareszcie, gdy wszystko dokładnie i z precyzyą zakończył, lewą ręką za rondel z kawą, do prawej

wziął „quart“ (ćwierć, blaszany kubek z uszkiem zawartości $\frac{1}{4}$ litra), przeszedł spokojnie po za nasz szereg i jednego po drugim częstował kawą. Zostało jej trochę, więc wspaniałomyślnie dał po kubku sierżantowi naszemu, porucznikowi i kapitanowi. My jedni dnia tego, nie wyłączając pułkownika, napiiliśmy się kawy przed, właściwie podczas bitwy, a kubek kawy w takich warunkach wiele, bardzo wiele wart.

Bitwa zawrzała na dobre. Dahomejczykom udało się zerwać bok obozu, broniony przez piechotę morską¹⁾, która pierzchła i wtargnęła ławą w sam środek obozu, pod namiot pułkownika, który z niego wyskoczył w spodniach jeno i koszuli, z rewolwem w rękę. Opodal namiotu jego znajdował się posterunek policyjny, t. zw. bo pilnuje porządku w obozie, z piętnastu ludzi i sierżanta (tego dnia, legionistów). Ten ostatni piorunem, w sam czas, uszykował swoich ludzi, kazał im bagnety na lufy nasadzić, na jedno kolano przykleknąć i przywitał Dahomejczyków rześnistym i skutecznym ogniem. Tymczasem komendant Faurax, zorientowawszy się odrazu, w położeniu, zamknął kompanią legionu bok obozu, opróżniony przez piechotę morską; salwami karabinowymi odparł nieprzyjaciela z zewnątrz, podczas gdy Senegalczycy tłukli tych, co się do obozu

¹⁾ Francuzcy dziejopisowie inaczej ten fakt przedstawiają. Opisują co na własne widziałem oczy.

dostali. Gdy po kilku salwach uznał komendant Faurax, że czas już legionistów poprowadzić na bagnety, podniósł rękę do góry, aby wydać rozkaz i padł, trafiony kulą w brzuch. Raniony śmiertelnie, umarł w parę godzin potem.

Dahomejczycy spróbowali zaatakować jeszcze nasz bok i trzeci jeszcze bok, ale odparci zewsząd cofnęli się w nieładzie, pierzchając ostatecznie przed naszym atakiem na bagnety, zostawiając w obozie naszym i naokoło obozu około 700 trupów.

Dowiedzieliśmy się później, że w ataku brało udział około 8000 żołnierza, uzbrojonego dobrze. Po bitwie zauważyliśmy, że każdy zabity Dahomejczyk miał przy sobie pęk sznurów, dla wiązania ujętych Francuzów.

Za uchodzącymi Dahomejczykami rzucił pułkownik w pościg dwie kompanie legionu lasami a moją kompanię wsadzono na kanonierkę „Emeraude”, którą pojechaliśmy w górę rzeki, aby przeciąć nieprzyjacielowi drogę. Na jednym ze skrzyżowań rzeki uraczyli nas zaczajeni strzelcy jacyś salwą z karabinów, zabijając jednego z naszych. Wróciliśmy do obozu przed wieczorem.

W obozie, a właściwie w pewnym od niego oddaleniu, kazał pułkownik porobić olbrzymie stosy drzewa, na których spalono ciała zabitych nieprzyjaciół, z obawy przed epidemią. Okropny jest swąd palących się ciał ludzkich, a co dodawało ohydy temu, to tysiące sępów, o głowie jakby oskubanej, czekających na okolicznych drzewach na gratkę

jaką i rzucających się, gdy z płonącego stosu stoczyła się jaka ręka, lub noga, lub głowa, którą to zdobycz trzymając w dziobie, odlatywały.

Znalezione na poboju strzelby i amunicje ułożono razem—strzelby były rozmaitego kalibru i gatunku, ale w ogóle dobre, choć wiele starych modeli, ale ani skałkowe, ani pistonowe. Dużo karabinów modeli szwajcarskich (Vetterli), austriackich (Dreyse), niemieckich a najwięcej Chassepot'ów francuskich. Te ostatnie, wzięte przez Niemców Francuzom w r. 1870, sprzedane zostały Dahomejczykom przez Niemców, osiadłych w bliskiej Dahomeju kolonii niemieckiej Togo.

Oprócz komendanta naszego zabitych zostało tego dnia: porucznik jeden i z dziesiątek żołnierzy, przeważnie legionistów, a kilkunastu ranionych.

Fort, w tem miejscu postawiony, nazwany został fort Faurax.

Ruszyliśmy nazajutrz naprzód, bijąc się prawie codziennie. Dahomejczycy byli w rzeczywistości wrogami nie do pogardzenia: dobrze uzbrojeni, dzięki bliskości kolonii niemieckiej, bili się dzielnie i trudno byłoby nam im sprostać, gdyby nie dyscyplina i wyrobienie nasze wojskowe, rozum wodza naszego a właściwie jego szefa sztabu, komendanta Gonard i męstwo legionu. Mówię to nie dla tego był jednym z tych, ale sam wódz naczelny musiał oddać legionowi sprawiedliwość, lubo i niechętnie, bo cudzoziemcy, w raporcie swoim z kampanii

nazywając legionistów „les plus braves soldats du monde”.

Kompania piechoty morskiej co się tak nie spisala w pierwszej bitwie została w Fort Faurax (Dogba) jako garnizon tegoż i dla eskortowania konwojów.

Szliśmy dotąd lewym brzegiem rzeki Ouémé, gdy cel naszego pochodu, stolica Abomey, znajduje się po prawej stronie rzeki w głębi kraju. Trzeba się było więc przepawić, a wysłane rekonesanse przekonały się, że dwa podobno istniejące brody silnie były obsadzone przez nieprzyjaciela. Udając więc, wedle odwiecznych prawideł taktyki, że będziemy siłą owe brody zdobywać, przepawiliśmy się spokojnie w innem miejscu, jednego popołudnia za pomocą kanonierek naszych i zbudowanej na przędecie tratwy. Noc spędziliśmy już na prawym brzegu i raniutko wyruszyliśmy w pochód, kierując się w głąb kraju, to znaczy — opuszczając brzeg rzeki.

Gdyśmy się gotowali do wymarszu, ujrzyliśmy raptem kilku spahisów, wysłanych na rekonesans, powracających pełnym galopem swoich koni. Nieśli oni trupa swego wachmistrza, Senegalczyka, którego znałem z widzenia i rozróżniałem od innych, bo się odznaczał olbrzymim, pomiędzy nie ułomkami żołnierzami swymi, wzrostem i rzadko udzielanym podoficerom krzyżem Legii Honorowej. Dowiedzieliśmy się zaraz, bo staliśmy nieopodal sztabu, że z wysłanych na rekonesans pochwyliły zacząjone

amazonki trzech czy czterech spahisów i, zęcając się nad nimi w sposób nie do opowiedzenia, zamordowały. Trupa ukochanego wachmistrza udało się spahisom odbić.

Stojący w szeregu w pogotowiu do ruszenia, spojrzeliśmy na siebie wzajemnie: „Są więc amazonki, istnieją na prawdę i są na prawdę takie straszne jak nam opowiadano!”

Takie było pierwsze, choć nie bezpośrednie, zetknięcie się nasze z amazonkami.

W chwilę potem weszliśmy w las o drzewach olbrzymich, ciemny i ponury, bez śladu drogi lub ścieżki. Szliśmy gęsiego. Nikt nam nie powiedział, że będzie bitwa, ale wszyscyśmy wiedzieli, że będzie na pewno. Nie zawadzało to nam wcale. Jednakże, im się dalej posuwaliśmy w ten coraz więcej ciemny, coraz bardziej zda się tajemniczy, ponury bór—nie wiem, czy to ranny epizod ze spahisami, czy to nerwowe oczekiwanie pierwszych, spodziewanych wystrzałów, zwiastujących przeczuwaną bitwę, czy złowroga, otaczająca nas cisza, przerywana jedynie jakby przytłumionym hałasem, który sami sprawialiśmy naszym pochodem—nie wiem co i dlaczego ale, w miarę postępowania naprzód, coraz to nieprzyjemniejsze jakieś, nieznanne dotąd w tej przynajmniej formie uczucie, przejmowało nas wszystkich, żołnierzy i oficerów. Nazwę je po imieniu: był to wielkooki strach! Przyznaję się do tego—a przecie brałem udział i wstydu sobie nigdy nie zrobiłem, w niejednej już bitwie, gdzie na udry szło, i dla

tęgo może nie waham się przyznać, że gdyby w tej chwili, a była to godzina jakaś ósma, dziewiąta rano, napadli byli na nas Dahomejczycy... no, głupia by się może historia przydarzyła. Nigdy jeszcze podobnego uczucia, tak wstrętnego, nawet znajdując się po raz pierwszy w ogniu, nie doznał. A zapomniało ono ogólnie, jakem się przekonał z tego, co mi potem opowiadali koledzy.

Na szczęście nasze, nie skorzystał Behanzyn z tej jedynej psychologicznej chwili.

Spotkanie z nieprzyjacielem nastąpiło dopiero gdzieś około jedenastej — o całym strachu byliśmy szczęśliwie dawno zapomnieli. Idąc wciąż lasem, weszliśmy, nie wiedząc o tem, a szliśmy gęsiego w kilku, nie wiem ilu, kolumnach, w sam środek obozu dahomejskiego, w którym czyhali na nas zasadzeni żołnierze królewscy. Zagrzmiały salwy wystrzałów karabinowych, rozległo się jęczenie ranionych. Byliśmy otoczeni, przynajmniej ten oddział, do którego należałem, ze wszystkich stron. Zanimem się jednak miał czas namyśleć, co robić, usłyszałem spokojny głos porucznika Morandy: „*Formez le carré*”, (formuj czworobok), kapitan coś krzyknął także; po krótkotrwałem zamieszaniu sformowaliśmy się w nieregularny zapewne czworobok—aż mi się przyjemnie zrobiło, gdy poczuł łokcie swoich towarzyszków—wybiliśmy co się nieprzyjaciół w środku niego znalazło, odpierając równocześnie powtarzane raz wraz „*furioso*” ataki na białą broń. Kilka ogni salwowych zakończyło chwilowo walkę i idąc naprzód,

okazało się, żeśmy wespół z innymi kolumnami, zdobyli olbrzymi nie czasowy, ale na stały pobyt służący obóz, znakomicie zaprowiantowany w ryż, banany, „maniok“, tytoń w liściach... wreszcie broń i amunicję. Straty ponieśliśmy jednak ciężkie—kilkunastu kolegów z mojej kompanii padło, padł dobry mój przyjaciel sierżant Collin, poczciwy a dzielny, odznaczający się niezwykłą pomiędzy żołnierzami tuszą, rodem z Lotaryngii. Padł kapral Banau, najmłodszy z pięciu braci, również Lotaryńczyk, którego czterech braci poprzednio już, w Tonkinie i Dahomeju, Francji życie oddało. Widzę jeszcze siedzącego na ziemi, z plecami opartymi o drzewo, kapitana Bellamy, trzymającego rękami wnętrzości, wychodzące mu z okropnie rozplatanego brzucha. Czarna broda jeszcze bledszą czyniła bladą śmiertelnie twarz jego.

Przeszliśmy przez zdobyty obóz, podpalając w miarę chałupy i chałupki, nie pardonując ani prowiantom, ani broni znalezionej, ani amunicji. Wszystko zostało spalone.

Spaliwszy obóz, postępowaliśmy jeszcze pewien czas naprzód, zachowując formację w czworobok, aż stanęliśmy u kraju dość rozległej polany. Bok, w którym się znajdowałem, zwrócony był frontem ku polanie. Stanęliśmy z bronią do nogi, z bagnetem nasadzonym na karabin i... dychaliśmy. Ten napil się wody z manierki, ów... szczęśliwszy lub przezorniejszy, lęknął sobie „tafia“, obdzielając nim

najbliższych kolegów, bo w legionie „co twoje, to i moje“.

Rachowaliśmy się: tego niema, tego niema, ten ranny, tamten zabity — będzie awans! Ten kapral zabity, sierżant zabity, furyer ranny, adjutant znikł... dobra nasza! Ten się cieszy, bo spodziewa się kaprala zastąpić, tamten sierżanta: „ale czy na pewno zabity?“.

Nie gorszcie się, obywatele szanowni: u was to samo się dzieje, tylko u was... hipokryzji więcej!

Wydechawszy się w miarę, nadkaśiłem suchara i popiłem wodą, wciąż stojąc z bronią do nogi, dopytując się zarazem o losy kaprala mojej eskuary, który gdzieś się zaprzepaścił. Byłem, jako żołnierz 1-ej klasy, naturalnym jego, w razie czego, zastępcą, a rachowałem na to, że i następcą. Nikt z kolegów powiedzieć nie nie umiał, co się z nim stało. Objąłem więc prowizorycznie dowództwo eskuary, mocno w głębi serca ucieszony miłą perspektywą otrzymania zamiast jednego dwóch czerwonych galonów (naszywek) na rękawach munduru.

Byłem więc dość różowo usposobiony, gdy w danej chwili, z przeciwnej strony rozlegającej się przed nami polany, doszedł nas silny rumor, gwar wrzaskliwy, hałas, wreszcie krzyki... i wychyliły się i wkroczyły z pomiędzy drzew na polanę naprzód jedna, potem zaraz druga, dziesiąta, hurma cała... kobiet, tak jest, kobiet uzbrojonych, biegnących bez wielkiego ładu. „Psia... tego, masz go, amazonki“ — pomyślałem odrazu. Nie czekając rozkazu,

przybraliśmy sami z siebie postawę jak na komendę „baczność”.

Amazonki, bo były to amazonki na prawdę, miały na głowie coś w rodzaju czapek frygijskich, a ubrane były w jakieś spódniczki, kurtki; niektóre przepasane były szarfami kolorowemi. Uzbrojenie ich stanowiły krótkie szable, kordelasy lub noże, miały ładownice na proch u boku i torby na żywność. W rękach dzierżyły — spostrzeżliśmy to natychmiast —doskonale repetyerowe karabinki systemu „Winchester”. Gdy wbiegły na polanę, a wysypało się tego z lasu setek kilka, może cztery, może pięć albo i więcej,—usiłzeliśmy dopiero komendę stojących za nami naszych oficerów: „*Garde à vous!*” (Baczność!). „*Feu de salve!*”. Ta ostatnia komenda jest przygotowawczą do strzelania. Trzyma się karabin nabity w dwóch rękach, jak do ruchu „na bagnety”.

Mniej więcej na środku polany wojownice zatrzymały się i rozwinęły przed nami nieregularnym frontem, strzelając do nas dorywco, na pojedynkę, bez widocznego skutku. Przygotowywały się widocznie do rzucenia się na nas na białą broń i oczywistym obowiązkiem naszych dowódców było atak uprzędzić, komenderując ognie salwowe. Nie wiem czy to dlatego, że mieliśmy przed sobą, koniec końców, kobiety, czy — ale chyba nie—dla jakiej innej przyczyny, ale oczekiwane komendy „*En joue*” i ostateczna, wykonawcza „*Feu*”, nie dochodziły naszych uszów.

Po krótkiej chwili kilka amazoнок wysunęło się z gromady i ruszyło biegiem na nas, i jedna z nich — widzę ją jeszcze: wysokiego wzrostu niewiasta, młodo wyglądająca, najwidoczniej pijana—uchwyciła rękoma obiema za nachylony bagnet trzeciego czy czwartego z prawej odemnie strony kolegi i szarpnęła, chcąc widocznie wyrwać mu z rąk karabin. Kolega na tę napaść oczywistą, a mając broń nabitą, ruszył palcem cyngla: strzał huknął i napaścica zwała się na ziemię. Jednocześnie prawie usłyszeliśmy oczekiwane „*Cell!*”, na które broń do oka się podnosi i „*Pall!*”, i znówu: „*Feu de salve!*”, „*Joue!*”, „*Feu!*” i jeszcze raz, i jeszcze raz. Nad polaną wzbil się obłok dymu, sprawionego n. b. przez proch bezdymny (jeden więcej chemiczny wynalazek!?). Zabrzmiała komenda: „*Cessez le feu!*” (zaprzestać ognia). Obrzuciłem polanę spojrzeniem: tam, gdzie przed paru minutami stały frontem do nas żywe, pijane i rozwścieczone kobiety, ujrzałem wał trupów.

Ani jedna bodaj z tych, co na polanę weszły, nie pozostała przy życiu. Straszna broń te karabiny Lebla.

Nie wiem dokładnie ile padło amazoнок na tej nieszczęsnej polanie; rachowaliśmy, tak na oko, około pięćset. Były to przeważnie młode, słuszne, tęgie, przepysznie zbudowane kobiety. Każdy rzeźbiarz by się niemi zachwycił. Cerę skóry miały w różnych odcieniach brązową. Znalazło się i tro-

chę starszych kobiet. „Pewnie niańki kaandydatek na amazonki!”—zauważył któryś z kolegów.

Obwieszane były wszystkie „*gris-gris*” (amulety), mającymi je ochraniać jedne od choroby, inne od głodu, od pioruna, a większość i od kul. A może nie miały owe „*gris-gris*” mocy na kule od leblówek? Amuletami takimi obwieszani byli podobnie i nasi senegalscy żołnierze i tragarze Toffanisi. Gdy „*gris-gris*” od kuli np. nie uchronił którego — tłumaczyli towarzysze jego, że pewnie zgrzeszył i amulet stracił moc.

Takie było nasze bezpośrednie pierwsze... i ostatecznie z amazonkami spotkanie, fatalne dla nich, bo zostało się ich tylko kilka przy królu Behanzynie.

Jako zakończenie co do amazoнок, dodam tu jeszcze, że, uzyskawszy po powrocie z Dahomeju kilkomiesięczny urlop, znalazłem się w trakcie tegoż w Paryżu. Zaciekawily mnie olbrzymie, ilustrowane na wszystkich murach ogłoszenia, zwiastujące, że na Polu Marsowem widzieć można gromadę amazoнок eks-króla Behanzyna. Stanowiły one sensację dnia, wszędzie, w restauracjach, omnibusach, na ulicy, słyszeć było rozmawiających o „*amazones au Champ de Mars*”. Pojechałem więc na Pole Marsowe, a że byłem w mundurze, a na piersi miałem przypięty medal pamiątkowy, nadany „*ex re*” wyprawy dahomejskiej, nie przyjęto odemnie zapłaty za wstęp. Jakież było moje rozczarowanie, gdy spostrzegłem odrazu, że pokazywane w Paryżu amazonki w niczem podobne nie były do tych, które

z nami wojowały. Przemówiwszy do nich, a nauczyłem się kilkunastu wyrazów dahomejskich, przekonałem się, że miały te pseudo-amazonki z Dahomejem wspólnego tyle, co ja np. z Patagonią. Przypuszczam, że są to te same, które się później i w Warszawie pokazywały.

III.

Głodno, gorąco i do domu daleko!

Gdym się był z Tonkinu wrócił do Algierji, znalazło się nas w danej chwili w Saïdzie gdzie jest „depôt“, centrum, punkt zborny 2-go pułku legionu, kilku Polaków, noszących znane w kraju nazwiska lub spokrewnionych z osobistościami sławnymi, jak np. synowiec Deotymy, syn T. T. Jeża, wnuk generała Kołyski, synowiec, jeżeli się nie mylę, Jeske - Chońskiego i inni. Dowcipny sierżant May przezwiał nas „nieśmiertelnymi“, przez aluzję do nieśmiertelnych akademii francuskiej i nazwa się przyjęła.

Z tych przez pokrewieństwo nieśmiertelnych byłem jedynym, biorącym udział w wyprawie na króla Behanzyna; dlatego też, po załatwieniu się

z amazonkami i zajęciu polany, po której się walały trupy tych wojownic, wyciągnięty na trawie oddawałem się dobrze zarobionemu godzinnemu spoczynkowi nam udzielonemu, gdy usłyszałem po polsku wołanie: „Cóż tam, nieśmiertelny?“, spojrzalem odrazu w stronę wołającego i zobaczyłem kolegę Raczyńskiego, z 2-ej kompanii, który przyszedł zobaczyć czy jeszcze żyję i dowiedzieć się, co nowego u nas słyhać. Opowiedziałem mu jak to z amazonkami było i mimochodem wspomniałem o zaprzepaszczeniu się kaprala mojej eskuady. „Czy nie ten mały, brodaty, brzydki?“ — zapytał Raczyński. — „A jakże!“—odpowiedziałem.—„Toż on się do nas przyłączył, do 2-ej kompanii, zgubiwszy was w lesie—rzekł kolega — dostał kulę w łydkę podczas bitwy w obozie Dahomejczyków. Beczał jak małe dziecko. Wzięto go do ambulansu i — dodał, wiedząc o moich nadziejach i niepomiernej ambicyi—z pewnością zostaniesz kapralem. Niech ci pierwszy powinszuję!“

Uściskaliśmy się. Zbliżył się kolega Sozański, z tej samej co ja kompanii i poczęstował nas wódką, której zawsze miał zapasik. Wszczęła się pogawędka. Sozański, eks-oficer wojska rosyjskiego, wojował kiedyś w Turkiestanie, choć dobry żołnierz, nie awansował, bo po francusku nie umiał, przystojny, o ciemnym zarósćie i jasnej cerze mężczyzna, spryciarz zawołany, dowcipny, miły... choć dużo gadał, mało jednak mówił o sobie i nikt z nas nie wiedział, kto on właściwie zasz. Raczyński, czyli

pseudo - Raczyński, bo nazwisko to było na pewno przybrane, był ongiś właścicielem kamienicy w Krakowie, którą gdy tylko otrzymał drogą spadku, spieniężył a gotówkę przepuścił w lot w Monte - Carlo. Pocieszał się w legionie po straconych nadziejach zrobienia, czy wygrania wielkiego majątku.

Po za Sozańskim, Raczyńskim i mną, nie było innych Polaków w dwóch kompaniach batalionu (2-ga i 4-ta) pochodzących z 2-go pułku legionu. Wiedzieliśmy, że w 1-ej i 3-ej, z 1-go pułku, było ich kilku, ale w ciągu całej kampanii nie mieliśmy sposobności ani możności zbliżyć się wzajemnie i poznać, lub choćby dowiedzieć jedni o drugich. W 2-ej kompanii, z Raczyńskim, znajdował się kapral Śmięgielski, Adam, zdaje mi się, na dobitkę, ale... Rusin zapalony, choć go mocno widocznie nie raz ciągnęło do nas, Lachów, trzymał się jednak na uboczu, zawsze ponury i milczący, z nikim się nie przyjażniąc.

Opowiadał właśnie Raczyński o swoich rannych przygodach, jak to go Dahomejczyk jakiś wziął na cel, a on go w sam czas przebił bagnetem, Sozański porównywał Dahomej z Turkiestanem, gdzie jako „praporszczyk” przebywał, gdy odgłos gwizdawki, długi, przeciągły, zmusił nas się rozstać, aby się udać każdy na swoje miejsce. Od bitwy pod Dogba, wszystkie sygnały dawane były za pomocą gwizdawek, a nie trąbek lub bębnow. Wobec nieprzyjaciela, w czasie wojny, regulamin nakazuje milczenie trąbom, używanym tylko w chwili

ataku na bagnety, dając głos, czy świst, jedynie gwizdawkom.

Wyruszywszy, wybrnęliśmy nareszcie z tego lasu, przez który szliśmy od samego rana. Około 5-ej wieczór stanęliśmy obozem w polu, nieopodal rozlanej rzeki czy trzęsawisk. Na wszystkie strony widnokregu czerniały rozległe lasy lub drzewami zarośnięte pagórki.

W braku kaprała, przypilnowałem ulokowania się eskuady na oznaczonym miejscu, postawienia namiotów, dwa niskie namioty po sześciu ludzi na każdą eskuadę, postarałem się o żywność (cukier, kawa, mięso, chleb, fasola, ryż i jeszcze coś), zająłem się wykopaniem naszej „porcy” szańczyków, którymi opasywało się obóz, aby je zburzyć, opuszczając go; dowiedziawszy się, że można było wysłać listy z konwojem, mającym odprowadzić do statków na rzece Ouémé licznych z dnia tego rannych, napisałem pośpiesznie list do domu, ołówkiem na skrawku papieru, list, ostatni z tej kampanii. Odnalazłem go w domu w kilkanaście lat później, porządkując papiery ojca mego.

Dnia tego skończył się pierwszy okres kampanii, najłatwiejszy, bo trzymaliśmy się dotąd brzegów rzeki, którą nam kanonierki dowoziły żywność i amunicję, i rannych zabierały.

Spędziliśmy noc spokojnie, a nazajutrz zostawiono nas w spokoju do, samego południa. Dyżurne kompanie wysyłały rekonesanse, pełniły służbę obozową i strażniczą; my, wypoczywaliśmy. Nie wie-

dząc, jak długo potrwa ten spoczynek, wyczyściliśmy co tchu, lecz gruntownie, karabiny nasze, najworniejszy, wedle Sozańskiego, żołnierza przyjaciel. Wyprałem sobie trochę bielizny, wyschłej na słońcu w paru minutach. Czuliśmy się wszyscy zadowoleni: kilkugodzinny odpoczynek w warunkach, w jakich się znajdowaliśmy, toż to gratka nielada! Że zaś tak jak nieszczęście, aż za często, w kupie chodzą, tak samo i pomyślności, rzadziej przecie, gromadnie na wybranych spływają, tak i nam trafiła się jeszcze następna gratka: kilku ludzi z mojej eskuady napotkało w lesie — o radosne spotkanie — maciorę, widocznie uciekinierkę z jakiejś wsi lub osady, z całą gromadą prosiat i udało im się kilka z tych ostatnich bądź to bagnietami wykluć, bądź w jaki inny sposób zatłuc. Rossi, kuchmistrz nasz, w lot upiekł pomordowane prosiaki; cudowny ich zapach rozlegał się po całym obozie, i uraczył nas potrawą, którą rozkoszowaliśmy się jak z pewnością nigdy kardynał, eks-patron Rossi'ego, najwyższą się potrawą nie rozkoszował! Prawda, że mieliśmy przyprawy o jakich nigdy kardynał żaden ani zamarzył: apetyty młode, rzadkość uczt podobnych, chęć korzystania z chwili. Nic nie podnosi możliwości i stopnia używania jak niewiadomość, czy się nazajutrz będzie mogło wogóle używać czego!

Okolo południa dowiedzieliśmy się, że mamy wyruszyć dla rozpoznania i utworzenia drogi, na dzień następny, dla całego korpusu. Wyznaczono

moją kompanię z sekcją artylerii naszej grupy, dwa działka pod dowództwem porucznika Jacquin i dodano nam kilkuset Toffanisów, którzy, uzbrojeni w siekierki i wielkie, o szerokiej klindze noże, mieli ścinać przed nami wysokie trawy, krzaki i drzewa. Dowództwo nad całym oddziałem objął kapitan mojej kompanii, „père“ (ojciec), jakżeśmy go nazywali, Poivre, najlepszy z ludzi. Mały, fertyczny, choć stary już kapitan, bliski spensjonowania, po przebyciu całej kariery w piechocie liniowej we Francji, wyjednał sobie przeniesienie go do legionu, aby pensję mieć powiększoną choć o kilka „campagnes“ (każda kampania, t. j. czas spędzony w koloniach lub na wyprawach wojennych, dorachowuje się do pensji wedle specjalnych skali) i sposobność posunięcia się o jeden stopień wyżej. Nigdy dotąd z takimi jak legionieści smokami nie miał do czynienia i był z pewnością, wewnętrznie, więcej przed nami onieśmiony, niż my przed nim. Mimo to, albo dlatego, był dla nas poczciwy i wyrozumiały, a żołnierze odnosili się do niego przyjaźnie i trochę również wewnętrznie, z lekceważeniem niejakiem.

Wyruszyliśmy wesolo, postępując powoli za pracującymi Toffanisami, armaty pośród nas, karabin przewieszony przez ramię, baraszkuje bez gwaru i pilnując się skrzętnie i na prawo, i na lewo, i z przodu i z tyłu. Szukaliśmy najwygodniejszego przejścia, omijając kępy drzew i inne przeszkody i zostawialiśmy za sobą szeroką, dobrze znaczną

drogę. Robota szła żwawo i nie bliskiej nie zwiastowało burzy, gdy nagle, o jakich osiem, dziewięć kilometrów od obozu, czarni nasi robotnicy wydali jeden, ogromny, pod niebiosy okrzyk i w mgnieniu oka znikli po za nami.

Spostrzegli zaczajonych Dahomejczyków.

Widzę jeszcze jednego z tych biedaków, jak w olbrzymim susie mignął mi przed oczami, przysadzając krzaki, i znikł. Mieli oni przed Dahomejczykami, którzy ich oddawien dawna dręczyli, odwieczny strach.

Huknęły strzały ze strony żołnierzy królewskich. Nie odpowiadając na nie, na rozkaz oficerów nasadziliśmy bagnety na karabiny i ruszyliśmy naprzód, pehając przed sobą nieprzyjaciół, którzy, jak się tego słusznie domyślili nasi przywódcy, stanowili tylko forpoczty armii Behanzyna. Dostaliśmy się w ten sposób, postępując w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, do lasu rzadko zarośniętego i nad brzeg głębokiego parowu, przez który się przeprawili nasi przeciwnicy.

Przystanęliśmy nad brzegiem, przyjęci z przeciwnej strony parowu wystrzałami armat i gęstymi salwami karabinowemi.

Brzegi i boki parowu owego pokryte były z obu stron wysokimi, rzadko rosnącemi drzewami, na spodzie znajdowała się woda. Mocno spadzista droga schodziła w dół parowu, przechodziła przez most z drzew i gałęzi i znów wznosiła się do góry.

„Będzie nam tu ciepło!“—szepnął mi do ucha sierżant mojej pół-sekcyi. Nie omylił się!

Na rozkaz oficerów uszykowaliśmy się jako tako nad samym urwistym brzegiem, wykonywując ognie dowolne, na upatrzonego, klęcząc na jednym kolanie (*Feu à volonté à genou*). Zagrzmiało, zahuczało, świst kul, trzaskanie i łomot gałęzi, krzyki, wrzaski i jęki Dahomejczyków wyraźnie dochodzące nas po przez parów, jęki naszych rannych, wszystko to razem utworzyło prawdziwie piekielną harmonię.

Prawdziwie, bo piekielny ogień skierowali na nas żołnierze Behanzyna. Wszędzie ich było pełno i zewsząd strzelali, z wierzchołka drzew, z po za drzew, z za załomów gruntu, z góry, z dołu, z boków. Raz wraz ze świstem i zgrzytem przelatywały nad nami pociski dział Krupp'a, bardzo proszę, które, dobrze wymierzone i manewrowane, nie umieli się Bogu chwala z niemi obchodzić, powinny być nas wszystkich, bez wyjątku, na łono Abrahama „*stante pede*“ wysłać.

Znalazłem się ostatni na lewem skrzydle i choć nadrabiałem miną, nie czułem się wcale, ale to wcale bezpieczny. Była nas jedna jedyna kompania a ich Bóg wie ilu? (Dowiedzieliśmy się wkrótce, że mieliśmy przed sobą samego Behanzyna z dziesięciotysięczną armią). A nuż przyjdzie im ochota obejść nas... co my zrobimy? Wyciągnięci w jedną linię po nad urwiskiem, bez rezerw... pozycya nasza aż się prosiła o obejście. Pozostawałoby się nam sformować

w czworobok i zginać, walcząc do ostatka. Tymczasem gdyby nas obeszli, byłem pierwszy z brzegu do capnięcia przez nich jak swego. Oglądałem się też co chwila i nasłuchiwałem każdego szmeru w wysokiej trawie.

Nieopodal odemnie—eskuada moja była „*soutien d'artillerie*“ (pomoc dla artylerji), co znaczy, że w razie ataku powinniśmy się dać wysiekać na działach — działa nasze pracowały, aż serce rosło. Co chwila porucznik, dzielny Jacquin, pomimo gradu kul wskakiwał na położoną obok kępkę, patrzył przez szkła i poprawiał cel armat, z największym spokojem komenderując: „Na... tyle... metrów, podnieść wizyer, na prawo trochę, na lewo“ i t. p., poczem zeskakiwał, nachylał się nad armatą, aby obejrzeć czy dobrze wycelowana, cofał się i dawał rozkaz, a za nim „*maréchal des logis*“ (wachmistrz, podoficer w artylerji i jeździe) powtarza: „*Première pièce feu!*“ zaraz potem drugi: „*Deuxième pièce feu!*“. Po wystrzeleniu działa się cofały, brzmiał rozkaz: „*En batterie!*“. Artylerzyści rzucali się do kół, posuwali, ustawiali, nabijali, celowali i... nieruchomieli, z rękami wzdłuż ciała spadającymi, z oczami, zwróconymi w stronę nieprzyjaciela. Przepiękna jest ta odwaga, ta dyscyplina, ta zimna krew... nieruchomo stać, widząc, ale to widząc, bośmy na bardzo krótką metę od nieprzyjaciela stali, wycelowaną na siebie broń, stać wśród świstu kul i łomotu druzgotanych gałęzi i drzew.

To też padali artylerzyści jeden po drugim, ale

padali i nasi. Rannych i zabitych wynoszono o parę kroków w tył, pomiędzy drzewa. Kto się nimi zajmował... niewiem?

Robiło się coraz to cieplej, w sensie odezwania się do mnie sierżanta. Ilość zabitych i rannych powiększała się u nas co chwila. Na początku bitwy nie było nas więcej nad ludzi dwieście; szczyła ta liczba wciąż i prędko się uszczuplała. Mieśliśmy przed sobą całą armię; widać było jak na dłoni linie usypanych szańców i wychylające się po nad nimi co chwila głowy w któreśmy „*ex-prompto*“ walili z karabinów.

Dochodziła godzina czwarta po południu, gdy, nie usłyszałem, bo jakież hałas rozróżnić by można wśród tego huku, ale uczułem, że się coś po za nami dzieje. Po chwili ujrzałem naszego szefa sztabu, komendanta Gonard, przybywającego konno z obozu. Dojechał nad sam brzeg urwiska, wybrał sobie widocznie miejsce ogołocone z drzew, na prawo od nas i od baterji i z zimną krwią obserwował, nie zsiadając z konia i wystawiony jaknajlepszy cel na pociski Dahomejczyków, co się naprzeciwno dzieje. Po długiej chwili zawrócił konia i pojechał wzdłuż linii ogniowej.

Niedługo po tem zwrócił uwagę moją szelest i poruszenie w wysokich trawach, na lewo odemnie, skąd spodziewałem się, dajmy na to obawiałem, nadejścia nieprzyjaciół. Ścisnąłem mocniej karabin w ręce i już, już przygotowałem się do krzyknienia: „*aux armes*“, „atakują nas z tej strony!“ gdy za-

miast nieprzyjaciół ujrzałem poczerńnięty karkowy kask z czerwonym czubkiem—oznaka legionu—i wychylił się z trawy jeden, potem drugi, trzeci i więcej, więcej... koledzy legionieści. Była to pierwsza kompania naszego batalionu nadbiegająca nam, zdwojonym krokiem, na sukurs.

Widzi mi się, że przybyli w sam czas!

Uszykowali się w dalszym od nas ciągu po lewej stronie i od razu — łup i łup — podwoił się ogień. Wraz z nimi przybyło i artylerji trochę i strzelców senegalskich, ci ostatni postawieni w rezerwie.

Odetchnąłem swobodniej i nie byłem, zdaje mi się, jedynym.

Powiększył się znacznie ogień z naszej strony i ruch; przebiegali oficerowie, podoficerowie, dawano rozkazy; przesunięto nas, z baterją, którą mieliśmy ochraniać, cokolwiek na prawo; znaleźliśmy się po nad samą drogą przechodzącą przez parów, wprost mostu i... strzelaliśmy w dalszym ciągu i w dalszym ciągu padali nam ludzie to ranni, to zabici.

Okolo g. 5-ej, usłyszeliśmy z nienacka po za nami głos trębacza (clairon) mojej kompanii, tęgiego Belga o jasnych, długich, opadających włosach, krzyżącego: „Czy mamy tu długo jeszcze gnić? Co to za robota? Legionieści, naprzód, na bagnety!” Podobala się widocznie myśl, gdyż zaraz kilka, kilkanaście głosów—powtórzyło: „*En avant, à la baïonnette, à la baïonnette!*”

Jak to się stało, dla czego się tak stało,... nie umiem sobie tego wytłomaczyć! Zerwaliśmy się jak jeden mąż, trębacz, sprawca tumultu, przytknął trąbkę do warg, zabrzmiała nuta „do ataku:” „*Ya la goutte à boire là haut!*” (Jest wódka do wypicia na górze) i... nie zdałem sobie nigdy sprawy jak zeszedłem na dół do parowu, jak przeszedłem przez most i wdrapałem się na górę i dopiero widzę siebie, gdy się myślą w owe czasy przenoszę, parującego karabinem ciosy, które koniecznie chciałem zadać żołnierz dahomejski kindziałem jakimś o szerokiej, trochę zakrzywionej klindze. Tego w lot któryś z naszych uspokoił, waląc go w sam łeb kolbą od karabina. Kindział odszukałem po bitwie, aby go później zgubić.

Za nami przeszły i prawie z nami doszły dwa działa porucznika Jacquina. Jak zeszyły? No, pewno stoczyli je artylerzyści na dół i przeciągnęli przez most, ale do góry, to musieli je chyba na rękach wnieść!

Kilkunastu nas, pierwszych przybyłych na górę, uszykowało się i, nie czekając rozkazu, rozpoczęło salwowe ognie na uciekających gęstemi kupami Dahomejczyków. Wkrótce się do nas i artylerja przyłączyła.

W taki to sposób zdobyty został, ufortyfikowany potrójną linią szanców i broniony przez dziesięć tysięcy ludzi i kilka dział Kruppa, obóz Adegon, nad sposobem wzięcia którego pułkownik nasz i sztab jego głowy sobie od dwóch dni suszyli. Bu-

dową szanów i obroną obozu kierowało trzech niemieckich oficerów na czasowym urlopie. Dowiedzieliśmy się o tem grubo później.

A kapitan nasz? W chwili, gdy, zuudzeni pukanią, ruszyliśmy w dół parowu przez most i wdrapywaliśmy się na drugą stronę, poczciwy kapitanisko oddalił się był o kilka kroków w tył, za linię bojową, dla... załatwienia niecierpiącej zwłoki sprawy. Opowiadano mi potem, że, wróciwszy i nie znajdując już swoich żołnierzy na stanowisku, gdzie ich przed chwilą zostawił, biegł stroskany tędy i owędy, pytając kogo spotkał: „Gdzie jest moja kompania?“

Groziła ta cała sprawa sądem i karami, ale rzeczy się daleko lepiej ułożyły, bo atak nasz improwizowany złożony został na karb inicjatywy kapitana, który za to otrzymał, po kampanii, marzony stopień wyższy.

W krótki czas przybył z obozu pułkownik Doods—kazano nam, wypoczywającym o głodzie, bo cały nasz tabor, żywność, koce i inne impedimenta pozostały w obozie, dokąd w założeniu mieliśmy powrócić na noc—kazano więc nam wystąpić rozwinętym frontem. Pułkownik publicznie podziękował kapitanowi „za szczęśliwy i trafny wybór chwili stosownej do wykonania zuchwałego ataku na bagnety“, nam, „za odwagę nadzwyczajną (bravoure extraordinaire) okazaną dnia tego a szczególnie w ataku na bagnety!“ Czy wiedział pułkownik prawdę prawdziwą, czyli też siekierka utonęła między kapi-

tanem naszym a komendantem Gonard? Nie wiem, ale przypuszczam raczej to drugie.

Podczas przemowy pułkownika, kapitan podkręcał białego już wąsa i nadymał czerwone jeszcze policzki, a z nas niejedyn uśmiechnął się pod wąsem; w rezultacie jednak byliśmy wszyscy zadowoleni.

Drogo nas kosztowały te pochwały: straciliśmy dnia tego dwóch oficerów z czterech i około sześćdziesięciu żołnierzy i podoficerów—w ostatniej chwili przybyły na pole bitwy komendant Lasserre, dowodzący naszą grupą, raczej nie lubiany, przybył akurat w sam czas aby „otrzymać śliwkę“ (recevoir un pruneau—dostać kulą w żołnierskiej gwarze), która nas od niego ostatecznie uwolniła. Zastąpił go gorszy od niego jeszcze!

W nagrodę za męstwo, kompania moja dostała na noc „honorowe“ stanowisko „*face à l'ennemi*“ (frontem do nieprzyjaciela), po przeciwnej od owego parowu stronie zdobytych szanów dahomejskich. Uchodziliśmy więc za bohaterów, ale odwrotną stronę medalu stanowiło... żeśmy byli bez kolacji a ostatnie nasze pożywienie się dawno było już zapomniane. Wyszedszy z obozu na rozpoznanie drogi, nie mieliśmy z sobą nic, prócz broni i amunicji, czego nie można ani zjeść, ani się na tem wyciągnąć. Byłem więc w najgorszym humorze, zajmując ze swoją eskadą wyznaczone nam miejsce na krańcu zewnętrznej linii dahomejskich szanów i kłęślimy jedni i drudzy w żywe kamienie, pokładając się

do snu, z pustymi żołądkami, na gołej, szczęściem, że suchej ziemi.

Pocieszyliśmy się trochę, gdy niedługo potem rozdano nam wódki i po parze sucharów. Nie zdążyłem jednak, po zaabsorbowaniu tej chudej kolacyi wyciągnąć się na ziemi, gdy usłyszałem wołanie: „Kapral 16-ej eskuady!” Podniosłem się niechętnie i zbliżyłem do wołającego dyżurnego podoficera, zapytując, o co chodzi? „Sierżant waszej pół-sekcyi zabity, macie za niego patrol odbyć!” i dał mi instrukcyę, które, wysłuchawszy, wziąłem z sobą kilku ludzi, karabin zarzuciłem na prawe ramię i ruszyłem patrolować po przed front naszego obozu. Zmęczony setnie i zły, patrol odbyłem w sposób taki, że, postąpiwszy kilka metrów w ciemności nieprzejrzone, usiadłem ze swymi zuchami za krzakiem i, posiedziawszy z kwadrans, wróciłem i zdałem raport, że „nie widziałem nic nowego!” I nie skłamałem.

Jeszcześmy nie zdążyli się ulokować możliwie najwygodniej, aby choć trochę wypocząć, gdy znów słyszeć się dało wołanie: „Czwarta sekcyja, wstawać!”—Co, u dj...?—„Na patrol z porucznikiem!”— „Ale w tej chwili wracam z patrolu, 16-ta eskuada!”

— „Rozkaz, czwarta sekcyja ma iść cała!”— „Niech dj... wezmą!”

— „A niech wezmą!”

Nie było rady! Patrolowaliśmy z porucznikiem Morandy przez dobre pół godziny na seryo. Skwitowałem już ze spania tej nocy i miałem racyę, bo

porucznik zaraportował, że słyszeć się dają w oddaleniu jakieś niewytłomaczone hałasy. Pobiegł z raportem kapitan do pułkownika i chwilę potem drugi pluton czwartej kompanii, to znaczy, że i my zawsze również, pod dowództwem samego kapitana naszego, gorliwego naszym kosztem, któremu towarzyszył jakiś kapitan ze sztabu, stał uszykowany na zewnątrz linii obozowej. Obaj kapitanowie przeszli po przed naszym frontem i gdy dochodzili do mnie, usłyszałem sztabowca, mówiącego do naszego kapitana, że trzebaby na szpicie (extrême-pointe), oddziału dać sprytnego (dégourdi) kogo. Kapitan wskazał na mnie. Byłem taki zły, że, nie pytając o żadne instrukcyę i nie czekając nawet formalnego rozkazu, zarzuciłem karabin przez ramię i ruszyłem drogą, zaczynającą się właśnie w tem miejscu.

Droga była dobra i szeroka; bielila się w ciemnościach przedemną jak jasny pas w wysokiej, na konia z jeźdźcem, trawie. Za mną o kilka kroków szło dwóch żołnierzy, dalej znów jeden, a za nim cały oddział, za którym znowu jeden, dalej dwóch a nareszcie jeden żołnierz stanowili tylną straż, gdy my—przednią.

Pomimo, że wytężyłem uwagę, aby nie wpaść w jaką zasadzkę, rozmaite myśli wirować mi zaczęły po głowie, w czasie tego nocnego marku na pojedynkę i na niewidomego. Przyszedł mi na myśl dom mój, rodzice, rodzeństwo; smaczne potrawy — wybaczenie, o ludzie żyjący tylko uczuciami, ale byłem głodny i zmęczony — z których sobie w domu nie

a nie nie robiłem, łóżko moje tak wygodne; wszystko to obracało się naokoło tej jednej myśli: „Po com ja tu wlaż!... Aby głupszy odemnie gadał, żem sprytny. A tom ci zarobił dopiero! Niech dj... wezmą to wszystko i mnie razem!”

Doszedłem do zakrętu. Droga, którąśmy tu doszli załamywała się na lewo pod kątem rozwartym i łączyła się z inną drogą z prawej strony. U spotkania dwóch tych dróg znajdowało się kilka chałup. Stałem na ten widok i gdy obaj idący za mną żołnierze do mnie doszli, kazałem jednemu z nich kapitana przywołać. Zatrzymała się kolumna i kapitanowie oba przybiegli do mnie. Pokazałem im chałupy, które mi polecili, z kilku żołnierzami, obszukać. Próżne były. Zaszedłem po za nie i usłyszałem wyraźnie tym razem szum i gwar głuchy, jakby huczenie jakieś, w tym kierunku, w którym ciągnęła się nasza droga. Zdałem z tego sprawę oficerom i ruszyliśmy dalej naprzód, możliwie jak najciszej, naładowawszy starannie magazyny naszych leblówek, posuwając się dwójkami bokiem drogi, w cieniu wysokich traw.

Przebywszy w ten sposób z jakie dwa przeszło kilometry, ujrzeliśmy wyraźnie i niezbyt daleko, na dwieście, może trzysta metrów, niezliczoną ilość ognisk obozowych Dahomejczyków. Nie pilnowali się wcale, bo widocznie ani przypuszczali abyśmy po nocy, w nieznanym kraju, pomęczeni po takiej bitwie, mogli pójść za nimi w tropy. W gwarze rozróżnić się dawał odgłos krajowego bębna,

„tam—tam”, głuchy, zwiastujący odbywanie się jakiejs ceremonii obrzędowej — może pogrzeb, może wzywianie bogów na pomoc lub coś innego w tym rodzaju?

Użykował nas kapitan w jeden długi szereg, frontem do obozujących i aby, jak się wyraził, strachu im napędzić, zakomenderował: „*Feu de salve*”. Huknęły wystrzały raz, drugi, trzeci. Zakotłowało się u Dahomejczyków. Nasze położenie stawało się niebezpieczne, to też kapitan dał sygnał do odwrotu.

Zamiast zawrócić, jak to się zwykle robi, dwójkami od prawego, zakomenderował kapitan, półgłosem, pół obrotu w prawo na miejscu, naprzód... marsz! W sposób ten, zamiast być jak poprzednio zupełnie na czele „*extrême-pointe d'avant-garde*”, zostałem się ostatni w tylnej straży: „Jak pech, to pech!” rozmyślałem z goryczą, maszerując nie o jakich dwanaście, piętnaście kroków za kolumną, jak to regulamin nakazuje, ale o jeden, dwa kroki powyżej od ostatniego przedemną żołnierza. Byłem przekonany, że Dahomejczycy zechcą zobaczyć, kto ich zaalarmował i wcale nie uważałem za szczęście, że miałem „honorowe” miejsce, będąc najpierwszym, bądź to do wzięcia żywcem, bądź do zakłucia lub zostania innym jakim sposobem wysłanym na dolinę Józafata. Oglądałem się co chwila po za siebie i anim się spostrzegł, gdyśmy dotarli do obozu naszego z powrotem.

Aż mi się lekko na sercu zrobiło, gdy usłyszałem okrzyk szyldwachy: „Stój, kto idzie?“ i odpowiedź „Francya“ itd. Już zaczynał się dzień. Wchodząc do obozu, pierwszego ujrzeliśmy kucharza naszego, poczciwego Rossi, czekającego na nas z gotową, gorącą kawą. Zapomniałem o swoich zmartwieniach, ujrzałem znowu świat w różowych kolorach. W wilgą, Rossi nie wyruszył z nami rozpoznawać drogi; został w obozie i dopiero w nocy, właściwie nad ranem, przyprowadził do zdobytego przez nas obozu tragarzy z całym naszym dobytkiem. Pobyt u kardynała widocznie zrobił zeń przewidywanego człeka: domyślił się, że gotowa kawa z powrotem z rekonesansu zrobi nam przyjemność i nie omylił się. Zaczne Rossisko, aby mu nieba wypłaciły rozkosz, jaką nam tym kubkiem kawy sprawił.

Porucznik Morandy, żyjący z nami za pan brat, bez pytania podszedł z kubkiem do rozlewającego nam po kolei czarny napój kuchmistrza: poczęstowałem nim również i kapitana, stojącego nieopodal i przypatrującego się nam z czułym uśmiechem. „Niech zna co to pan!“ pomyślałem sobie.

W czasie, gdyśmy ostatni odbywali rekonesans, cały obóz, w którymśmy poprzedniego dnia stali, bagaże itd., przeniesiony został do obozu zdobytego, tak, że my nie mieliśmy już potrzeby wracać.

Domyśliłem się, że oznacza to bliski wymarsz i zgadłem. Ruszyliśmy, cały korpus jedną kolumną, tą samą drogą, po którejśmy w nocy spacerowali;

moja kompania, zmęczona choć chwałą okryta, w przedniej straży. Dotarliśmy wkrótce do miejsca, w którym Dahomejczycy obozowali i ujrzeliśmy tamże kilkadziesiąt trupów i rannych. Salwy nasze widocznie wznieciły u nich dziki popłoch i drapnęli co tchu, pozostawiając za sobą tych, co o własnej sile iść nie mogli.

Przechodząc pomiędzy pozostawionymi biedakami, którymi, będąc w przedniej straży, nie mieliśmy się czasu zająć, pozostawiając staranie o nich nadchodzącej za nami kolumnie, spostrzegłem, że dobosz ¹⁾ mojej kompanii, niejaki Meyer, tłusty blondyn o nalanej twarzy, wyciągnął swój pałasz (dobosze, z powodu bębna, nie noszą karabinu ale uzbrojeni są w rewolwer i krótki mieczyk“, „sabre série“) i przebił nim, dla zabawki, leżącego na wznak rannego. Jest to jeden jedyny wypadek podłego okrucieństwa, który mi się kiedykolwiek w wojsku francuskim widzieć zdarzyło. Oburzyło mnie to tak, że, nie mogąc się powściągnąć, uderzyłem podłego żołdaka w twarz i kazałem mu iść naprzód. Meyer z największą pokorą przyjął zasłużony traktament.

Nasuwa mi się tu mimowoli porównanie: będąc kiedyś w Warszawie, uderzyłem w podobny sposób, wstyd się przyznać, „Litwoka“ jednego,

¹⁾ Dobosze zwykle nie biorą udziału w wyprawach kolonialnych... kampania dahomejska jest jedyna, w której ich widziałem.

który ubliżył osobie, z którą szedłem ulicą. Litwok jednak nie przyjął tego tak pokornie, jak ów Prusak. Oddaliwszy się o kilka kroków, dla bezpieczeństwa zapewne, odgrażał się z daleka; Prusak odtąd starał mi się zawsze usługi różne oddawać i przypodehbiać. Porównanie między Litwokiem a Prusakiem wypadnie chyba na korzyść pierwszego.

Gdy wieczorem dnia tego, po całodziennym marszu pod żarzącym słońcem, założyliśmy obóz w około jakiejś opuszczonej wioski, w szczerem polu, okazało się, że *nie ma wody do ugotowania jedzenia*. „Ale kawę przyrządzić?” — „Ani rusz, kropli wody nie ma! Rzuciliśmy się z zapalem i gorliwością do szukania tej, tak zwykle lekceważonej, wody, studni jakiej, strumyka, choćby bagniska; wszystkie nasze poszukiwania spełzły na niczem. Wszędzie w około ziemia sucha jak pieprz, nigdzie ani najmniejszego śladu wilgoci. Była wioska, a wody... ani, ani!

Wszystcyśmy od razu uczuli pragnienie.

Położyliśmy się spać bez kolacyi, naturalnie. Całą noc śniło mi się, że się kąpię w świeżej źródlanej wodzie.

Nazajutrz i na trzeci dzień, maszerowaliśmy przez gęste, wysokie trawy, w upał nieznośny. Droga się urwała zupełnie, gdzie nigdzie tylko napotykaliliśmy ścieżki, na których Dahomejczycy uszykowali przeróżnych kształtów fetysze, wizerunki swoich bogów i gris-gris, amulety mające wstrzymać nasz pochód i naprowadzić na nas dżumę, cho-

lerę, febry i inne tego rodzaju plagi. Istotną plagą, okrutną męką, przez te trzy straszliwe doby, był absolutny brak wody. Szliśmy znękami, zmęczeni, przybici — czasem który z nas dowiecip rzucił, inny piosenkę zanucił, ale nie znajdowali echa.

Nieprzyjaciela nie było widać, ani w ogóle żywej duszy lub zwierzęcia. Behanzyn robił próżnię przed nami, zasypywać kazał starannie studnie i szykował się do przyszłego spotkania.

Na wieczór, trzeciego dnia tej męczarni, wyciągnąłem się na gołej ziemi z tą myślą, że już nie mam po co wstawać, ani zresztą sił do poruszenia się nie miałem i leżałem, w pół na jawie i w pół drzemiąc, gdy obudził mnie okrzyk ogólny: „Burza idzie!”

Burza i jaka jeszcze: najgwałtowniejsza, jaką kiedy do tego czasu widziałem, tak zwane „tornado“, druzgoczące wszystko, któredy przejdzie, ale przynoszące z sobą strumienie, rzeki całe błogosławionej, nieocenionej, najlepszej tej z najlepszych rzeczy... wody, wody!! Rzuciliśmy się do płócien, rozwalonych przez wichry, namiotów i trzymając we dwóch ludzi, każdy za dwa rogi kwadratowego płótna tak, aby się we środku zrobiło zagłębienie, piliśmy wprost z płótna, lejącą się doń gwałtownie wodę, ten płyn życiodajny.

Mickiewiczowski: „Ojczyzno moja, Ty jesteś jak“ itd.“ dałoby się z równą racyą powiedzieć o wodzie: „o wodo, kto cię stracił, ten tylko się dowie, ileś ty warta!”

Spędziliśmy pozostałą część nocy na picie wody, kawy i na jedzeniu. Żywności mieliśmy pod dostatkiem, ale jeść, gdy wody nie ma, ani rusz. Pijąc dopiero, poczuliśmy głód. Powetowaliśmy to sobie tej nocy.

Rano dnia następnego, właściwie tego samego, gdyż przeprawa z wodą odbyła się od północy, weszliśmy znowu w kontakt z nieprzyjacielem.

Dowództwo naszej grupy, po polknięciu śliwki przez komendanta Lassere, objął komendant Stefani, mniej jeszcze od poprzednika swego sympatyczny, nie aby nam nadzwyczajnie dokuczał, żołnierzowi się nie dokucza na wojnie, ale że jakoś, pomimo srogiej miny, nie patrzył na żołnierza.

Gdyśmy wyruszyli z obozu, przezwanego przez nas „Camp de l'eau“ (Obóz wody), uderzyli na nas Dahomejczycy ze wszystkich stron. Maszerowaliśmy w trzy kolumny i utworzyliśmy tyleż czworoboków, z impedimentami, bagaże i ambulanse, we środku. Zauważyliśmy, że żołnierze królewscy strzelają do nas kulami wybuchającymi (balles explosibles) atakując nas co chwila na białą broń. Nie czekając na ich ataki, rzucaliśmy się na nich raz wraz na bagnety, zadając im dotkliwie nader straty. Miało to te dobre skutki, że oszczędzaliśmy zaczynające wyczerpywać się naboje, i coraz to dla nas większym szacunkiem napawało naszych przeciwników.

Tak maszerując, sfurmowani we trzy czworoboki, niemal dzień cały, doszliśmy w ciągłym prawie ogniu do miejsca, które sztab uznał za dobre

na przepędzenie nocy. Mało zużywając naboje odepchnęliśmy wszystkie ataki, najczęściej idąc sami na spotkanie wroga na bagnety i ścierając się z nim na białą broń... byliśmy więc zwycięzcami, ale... biwakowaliśmy tej nocy znów bez wody i wciąż bez wody, ale za to maszerując całymi dniami w bezustannym ogniu i gorączce bojowej, w gorącu nie do wytrzymania, alarmowani raz po raz po nocach, spędziliśmy cztery piekielne, nie do zapomnienia doby. Nauczeni poprzedniemi doświadczeniami, skorzystaliśmy byli ze szczęśliwej dla nas burzy, aby napęlić wodą, na zapas, manierki, nasze i kociółki ale posłużyło to na bardzo krótko.

Każdy z nas poruszał się i działał jak maszyna, wykonywając nakazane ruchy bezmyślnie, na prawo, na lewo, w tył, naprzód, na bagnety... w głowie jedną mając tylko myśl, jedną żądzę: wody, wody! O głodzie nikt ani myślał!

Dostawaliśmy halucynacyi; majaczyły mi się na jawie stawy przezroczyste, okolone wierzbami, strumyki, płynące z szumem po kamieniach, kaskady górskie. Kiedyś w marszu, idąc zaraz za poręcznikiem mojej sekiyi, opanowała mnie myśl, że gdybym go z tyłu bagnetem ukłuł, wyszła by z niego woda... taka świeża, smaczna, lekko zaróżowiona! Sił całych, reszty rozsądku użyć musiałem, aby z pochwy wiszącej mi z lewej strony nie wyciągnąć bagnetu i nie dźgnąć nim poręcznika, również jak i ja biednego.

Pewnego, ale nie pięknego, wieczora, 15-go października, znaleźliśmy się wobec mocno obwarowanej pozycji, broniącej jedyne podobno przejście do Abomey'u, stolicy, obiektu pochodu naszego. Stanęliśmy obozem, w którym, wspólnymi siłami, po nocy, zbudowaliśmy redutę. Przededniem ruszył prawie cały korpus w drogę, aby chyłkiem ową pozycję Dahomejczyków obejść, zostawiwszy w reducie artylerji trochę i część naszych Senegalczyków. Myśmy mieli niepostrzeżenie zejść z boku i wziąć nieprzyjaciela we dwa ognie.

Obeszliśmy duże półkole i przeszedłszy przez obszerną dolinę, wznoszącą się łagodnie w górę, znaleźliśmy się około 9-ej rano, niepostrzeżeni, tak się nam przynajmniej zdawało, na prawej stronie pozycji dahomejskiej. Z reduty naszej utrzymywano na nich ciągły, choć powolny, bo amunicji było mało, ogień armatni, aby ich utrzymać w przekonaniu, że mamy zamiar ich atakować z przodu.

Stanęliśmy dla wytehnienia; o niecały od nas kilometr, na prawo od Dahomejczyków, widać było grupę drzew, tworzącą lasek niewielkiej objętości, po za którym teren się mocno do góry wznosił. W nadziei, że tam może jest woda, a żywego ducha widać w pobliżu nie było, posłano do owego lasku pod słabą eskortą wszystkich tragarzy naszych ze wszystkimi naczyniami na wodę, jakie posiadaliśmy, z których najpraktyczniejsze były płocienne wiadra.

Przyjęci strzałami, wrócili się czarnuchy bez wody ale z wiadomością, że tam jest i bez naczyni, porzuconych uciekając.

Wysłana na rekonesans cała kompania, powróciła z raportem, że miejsce to, w którym się rzeczywiście znajduje źródło i bagienko, jest tak mocno oszańcowane, że aui marzyć nam o zdobyciu go w tych warunkach; byliśmy albowiem w takim położeniu, wskutek nie dochodzenia konwojów, że zostawało się nam bardzo mało amunicji, t. j. naboju tak dla piechoty jak i dla artylerji.

Cały nasz dowcipny dzisiejszy manewr był chybiony, gdyż Dahomejczycy byli widocznie przygotowani na nasz ruch obchodzący (mouvement tournant).

Pułkownik postanowił przeczekać w tem miejscu do wieczora, aby, może, próbować dalej obejść lub cofać się o chłodzie? Nie wiem.

Okolo południa zauważyłem, że żołnierze 3-ej kompanii mego batalionu toczą jakieś ożywione, poufne narady—dowiedziałem się, pod sekretem, że postanowili oni za wszelką cenę do tej wody się dostać!

Postanowiłem pójść z nimi, zaryzykować... za wodę przecie nie jest za drogo życiem zapłacić, gdy się bardzo pić chce!

Spostrzegłszy, że już idą, złapałem co żywo dwie manierki, karabin do ręki i jazda za nimi. Przeszliśmy chyłkiem, ale krokiem zdwojonym, kilometr, dzielący biwak nasz od celu pochodu i we-

szliśmy do lasku, w którym po paru krokach, napotkawszy kałużę z wodą, brudną zapewne, ale nie zważałem na to, rzuciłem się na kolana i, opierając się na rękach, napiłem się wody trochę, jeszcze trochę, troszeczkę...!

Koledzy byli już w ogniu!

Dahomejczycy mieli redutę swoją trochę za tym laskiem, a sam las był literalnie napchany ich wojownikami tak na ziemi, jak i w powietrzu, bo, według ich chwalebego zwyczaju, siedziało po kilku na każdym drzewie. Napiwszy się wody, a niewiem jakim to cudem nie zostałem podczas pojenia się uśmiercony, musiałem się, choćbym nie chciał, przyłączyć do roty i, jak wypadło, to strzelałem, ale mało co, bo zaciasno na strzelanie było, to zgąłem bagnetem, to... raz tak mi wypadło... musiałem jednemu pięścią zajechać między oczy. To ostatnie zdarzyło mi się, gdy, korzystając z wolniejszej chwili, starałem się wodą napęlnić jedną z moich manierek, a byłem stanął w sam środek kałuży i trzymając karabin w jednym ręku drugą manierkę zanurzyłem do wody. Zwalił się na mnie Dahomejczyk, którego, puściwszy manierkę, uderzyłem, złapałem swoje dobro i prędko napęlniłem wodą. W podobny sposób udało mi się i drugą manierkę napęlnić drogocennym płynem, chociaż zmieszany z błotem.

Mocno parci, zostaliśmy zmuszeni do cofnięcia się bardzo powoli i, unosząc naszych rannych i zabitych, do w pół drogi do biwaku. Tu przyłączyli się do nas oficerowie 3-ej kompanii, którzy nie nie

wiedzieli o zamysłach swoich ludzi, którymby zresztą byli przeszkodzili.

Ruszyłem w kierunku biwaku, myśląc, że i oni wracają—obejrzałem się po chwili, że jestem sam. Nie zawróciłem jednak dla tego, że koniec końców to nie była moja kompania, dalej, że miałem to, o co mi chodziło, wodę, a nareszcie, że chciałem tą wodą kolegów moich uraczyć. Schowałem na później jedną manierkę, a drugą poczęstowałem, po troszeczkę, kolegów moich z eskuady, porucznika i kapitana. Przyjęli mnie jak anioła z nieba i z pewnością ei z nich, którzy dziś żyją jeszcze, wspominają ten kubeczek wody!

W lasku tymczasem źle się działo. Oficerowie 3-ej kompanii nie zdołali namówić swoich ludzi, rozgorączkowanych walką i oszalałych od pragnienia, do powrotu do biwaku i, nie chcąc ich opuszczać, poszli razem z nimi. Nie było mnie przy tem święcie, nie będę się więc wdawał w opowiadanie; powiem tylko, że posłane na sukurs dwie kompanie, jedna legionu, jedna Senegalczyków, z wielką biedą wydobyły tamtych zuchów z tarapatów. Trzecia kompania wróciła zdziesiątkowana, straciwszy bodaj *co do jednego* wszystkich swoich oficerów i podoficerów.

Dahomejczycy zaczęli walić do nas z armat, ze swojej reduty za owym laskiem złowrogim. Pociski z szumem i świstem przelatwały nam ponad głowy, padając w różne punkta biwaku i czyniąc nam szkody. Szczęście nasze, że nie wybuchały,

a to dla tego, wyjaśnił mi to porucznik Jacquin, iż nie wiedzieli Dahomejczycy, że trzeba coś tam przy czubie odśrubowywać. Strzelali do nas także z *m-trailleuses*, owe sławne z r. 1840 mitraliezy, wzięte Francuzom przez Niemców i za drogie pieniądze odprzedane Behanzynowi. Te nam jednak żadnej szkody nie uczyniły.

Pułkownik Doods zdecydował się cofnąć. Sformowani w czworobok, ze sztabem, rannymi i impedimentami we środku, ruszyliśmy nazad drogą tego samego dnia odbytą. Dahomejczycy zaatakowali nas gwałtownie ze wszystkich naraz stron, strzelają bezustanku i rzucając się na nas na białą broń tak, że w kilkanaście, kilka czasem kroków, czworobok musiał przystawać, aby odeprzeć natarczywych napaśników z jednej lub drugiej strony lub czasem ze wszystkich stron naraz.

Bokiem, do którego składu wchodziła moja kompania dowodził komendant Stefani; jest dziś jenerałem, ale ja bym go i kapralem nie chciał zamianować. Pomimo srogiej miny, którą go natura obdarzyła, stracił widocznie głowę w całym tym rwetesie i wskutek tego i nam głowy zawracał niemądrymi rozkazami. W ostatnim rozkazie dziennym polecał pułkownik, aby jaknajpilniej naboju oszczędzać, bo wprost zaczyna ich braknąć. Raz więc, gdy gęstszym gradem padały na nas kule dahomejskie, dzielny Stefani pięście do góry podniósł, półrozkazującym, półplacziwym już, proszącym tonem: „Legioniści, strzelajcie, strzelajcie, strzelajcie“ *nom de*

Dieu, ale widocznie przypominał sobie w tej chwili rozkaz dzienny, bo dodał: „ale oszczędzajcie naboje!“

Spojrzałem na porucznika, maszerującego nieopodal mnie, on na mnie i nie wytrzymałem, aby nie mruknąć półgłosem: „Gdyby to tak kulka zwierzę to chciała sprzątnąć!“ na co porucznik „Nie gadać głupstw!“ odrzekł i jeszcze raz spojrzeliśmy na tego doprawdy nieznośnego, wyjątkowego w wojsku francuskim oficera. Przyczaił się był właśnie za drzewem, bo znowu kule zaczęły gęściej świstać w naszą stronę i jeszcze mieliśmy oczy na niego zwrócone, gdy rzucił się gwałtownie, rękoma schwycił się za prawy bok, postąpił krok naprzód i padł jak długi na ziemię. Dowiedziałem się później, że był ciężko ranny.

Z tytułu starszeństwa, fertyczny mój kapitan Poivre objął natychmiast dowództwo naszej grupy i zachował je do końca kompanii.

Dali nam nareszcie wojownicy Behanzyna spokój, a musiał ich ten dzień także drogo kosztować i swobodnie wróciliśmy do reduty, zbudowanej zeszłej nocy. Otoczyliśmy się szańczykami i legliśmy na spoczynek, nie wszyscy jednak, bo ja zostałem odkomenderowany na straż nocną. Pilnowaliśmy się, aby jaknajmniej ludzi wartą trudzić, tak zwanymi *petits postes volants* t. zn. że na każdym boku obozu, w oddaleniu jakich 100—150 metrów, od niego, były po dwa posterunki, złożone z kaprała i trzech żołnierzy. Stawiało się szyldwacha i ka-

pral musiał pilnować zmiany, podczas gdy nie stojący na szyldwachu ludzie jego spali czekając na swoją kolej stania.

Spostrzegłem był za dnia, że z bagażami znajdowała się beczuleczka jakaś i zauważyłem, gdzie ją tragarze postawili. Zaintrygowała mnie ona, a że pragnienie mi znowu okrutnie dokuczało—manierką wody schowaną na rezerwę dawno już się byłem z kolegami podzielił—opuściłem, przed północą mój posterunek, postawiwszy szyldwacha i przestrzegłszy moich żołnierzy, którzy nie spali, że się oddalam na chwileczkę. Poszedłem do obozu, obchodząc śpiących pokotem na gołej ziemi, bo my ze zniekania pragnieniem już ani namiotów nie stawiali, ani zwiniętych razem koców nie odwijali, wprost do kupy bagażów gdzie była owa beczułka. Wyjąłem czop i powąchałem: wino, nie wino? Nastawiłem kubek i mocno beczuleczkę wpół napełnioną przechyliłem, tak, że się i do kubka nalało i za ziemię sporo rozlało. Nie wachając więcej, napiłem trochę i najokropniej sparzyłem sobie zbolące usta.

Był to mocny, biały ocet!

Nie, dłużej już wytrzymać nie mogłem. Za wiele mi było tego dobrego!

Poszukałem sznurka i, usiadłszy na jakiejś pace, jąłem się go wiązać do cyngla karabinu, aby go potem, przywiązawszy do stopy koniec lufy, przyłożyć do ust i nogą pociągnąć za cyngiel, gdy zamajaczył się obok mnie jakiś cień. „Kto tu?“ zapytałem. „Ano ja“, powiedział nazwisko i dodał:

„Spójrzycie na niebo, jak się tam kłębią chmury. Będzie deszcz!“

Będzie deszcz!

Ani się chwili nie namyślając, odjąłem sznurka z cyngla i wróciłem do mego posterunku, gdzie, gdy powiedziałem swoim trzem ludziom o możliwości deszczu, wszyscy trzej a i ja z nimi, już nie śpiąc, jęliśmy się obserwować pilnie i uważnie widnokrąg po nad nami.

Nie czekaliśmy długo. Deszcz lunął, jak z cebra.

Był to ostatni dla nas dzień tej najgorszej męczarni, tortury prawdziwej, jaką jest pragnienie, bo odtąd mieliśmy wciąż wody pod dostatkiem.

IV.

Wojna nie matka.

Nie udany jednego dnia manewr—powiódł się nam nazajutrz doskonale. Obeszliśmy pozycję dahomejską z lewego boku i po uprzednim zbombardowaniu, wzięliśmy ją, po upartej walce, na bagnety.

Nieco dalej przeszliśmy przez rzekę jedną, potem inną i inną—wody mieliśmy w bród.

Odkąd kapitan Poivre został dowódcą naszej grupy, przybrał mnie do swego boku, wobec i z powodu braku oficerów, a nawet i podoficerów, jako coś w rodzaju przybocznego adjutanta. Chodziłem więc komunikować rozkazy jego dowódcom oddziałów, wchodzących w skład trzeciej grupy (kompania strzelców senegalskich i sekcya artylerji); za-

pytywać w jego imieniu o wskazówki i rozkazy lub składać raporty ustne pułkownikowi lub szefowi sztabu; wreszcie odbywałem z kapitanem poważne narady i w wątpliwych wypadkach doradzałem mu jak umiałem i na dobitkę... wlażłem na drzewa, by obserwować ruchy nieprzyjacielskie.

Gdy mi po raz pierwszy kazał wleźć na drzewo, zaopatrzony w swoją lunetę polową, gdym, napatrzony w swoją woli i zmiarkowawszy, jak mogłem najlepiej, co i jak było i działa się, zszedł na dół, zapytał mnie o liczbę zoczonych w danym miejscu Dahomejczyków? „Albo ja wiem, kapitanie! — odrzekłem szczerze. — Jest ich tam cała kupa, ale przecież trudno mi było ich rachować!” Zmarszczył się stary kapitan, mruknął przez zęby „imbécile” (głupiec) i odwrócił się odemnie, jakby chcąc zmanifestować, że nie ma co z takimi jak ja gadać. Przemilczałem, chociaż mnie to mocno obraziło, a n. b. jest to jedyny raz, przez cały ciąg mojej pięcioletniej w legionie służby, aby mnie coś podobnego spotkało.

Pomimo to, posłał mnie przecie kapitan w kilka godzin później znowu na drzewo i gdy mnie zapytał, ilu Dahomejczyków zobaczył, odpowiedziałem bez zająknięcia się: „Pięćset dwudziestu trzech, kapitanie!” Z rozjaśnioną miną zwrócił się wtenczas mój dowódca do stojących obok kilku oficerów, mówiąc: „*Je vous ai toujours dit, que ce garçon est très intelligent!*” (Zawsze wam mówiłem, że ten chłopak jest bardzo inteligentny!). Porucznikowi

Morandy, który mi chwilę później wyrzuty czynił, że żartuję z kapitana, musiałem dopiero wytłumażyć, co się stało. Przyznał mi zresztą słuszość.

Tymczasem ani jeden dzień nie mijał bez walki, ani jedna noc nie upływała nam spokojnie. Behanzyn ostatnich sił dobywał, aby nas zgnieść, zamęczyć, zmordować!

Po zdobyciu owej pozycyi, która nas tyle wysiłków kosztowała, poczęliśmy iść krajem nie górystym jeszcze, ale wznoszącym się łagodnie do góry. Nie brakło nam już wody, nieraz nawet mieliśmy jej raczej za dużo. Raz o mało, że się nie utopiłem, przebywając wbród, klusem, wartko pędzącą rzeczkę, której woda dochodziła mi powyżej szyi. Znalazłem się w tembardziej przykrem położeniu, że właśnie trzymałem, rękami, za dwie przednie łapki, koźlaczka, którego dźwigałem na grzbiecie, biednego zbląkanego koźlaczka, noszonego przez nas po kolei, jak skarb drogocenny. Biegliśmy właśnie, aby uderzyć na nieprzyjaciół na bagnety—koźlak beczał w niebogłosość. Żołnierz, po kolei koźlaka noszący, karabin miał na plecy zarzucony, bo obie ręce jego zajęte były trzymaniem zdobyczy—kolacyi wieczornej, ale nie stanowiło to dla niego niebezpieczeństwa, bo cała eskuada by się raczej dała posiekać, niżli jemu, „respectiv“ koźlątku, pozwolić krzywdę najmniejszą zrobić. Gdy wszedłem do rzeki, koźlak, poczuwszy zimną dość wodę, beknął rozpaczliwie, podnosząc intonację głosu do wysokiego „cis“, a ja się o mało nie

wywrócił. Przeszedłem jednak szczęśliwie i pozbyłem się miłego ciężaru, z którego mieliśmy tego dnia znakomitą kolację.

Eskuada moja stawała się słynną na cały korpus z powodu swego wykwintnego wikt... prawdą zaś było, że nie znalazłaby się ani jedna bodaj, któraby z 16-tą eskuadą czwartej kompanii mogła iść w zawody pod względem doboru żołnierzy: wszyscy starzy, doświadczeni wyjadacze, umieli sobie radę dawać w najgorszych warunkach; gdzie nikt nie znalazł, tam oni zawsze coś wyszperali, a gdzie było co, to się nam w ręce dostało: exemplum, ów koźlak. Kucharza mieliśmy mistrza w swym zawodzie, pamiętam jeszcze jakieś naleśniki z tartego „manioc“, cukru i wódki—delicyi. Manioku tego było mnóstwo i nikt nań uwagi nie zwracał, dopiero Rossi owe naleśniki wymyślił—a były to już czasy głodowe. Kto z nas co znalazł, wyszperał, wymyślił, tem się z całą eskuadą dzielił; praktykowaliśmy komunizm w całym tego słowa znaczeniu. Co do mnie, nie miałem ze swymi ludźmi nigdy najmniejszego kłopotu, nie narazili mnie ani razu na żadną wymówkę lub uwagę przełożonych. Nie dziwnego więc, że inni żołnierze i kaprale zapatrywali się na nas, podziwiali i zazdrościli nam trochę.

Koźlakiem naszym poczęstowaliśmy, po troszeczkę, nie tylko pozostałych przy życiu dwóch oficerów naszej kompanii, ale nawet i pułkownika, któremu sam zaniósłem skromniutką porcyjkę owego zwierzęcia, za co dostałem od niego... dwa papiero-

sy. Była to, w warunkach, w jakich się znajdowaliśmy, wprost królewska zapłata.

Konwoje nas już od dawna nie dochodziły i brak nam było i amunicji, i żywności. Amunicję oszczędzaliśmy, idąc na bagnety, gdy i gdzie tylko było można, zachowując małą ilość pozostałych nam naboju na nieodzowną potrzebę; żywiliśmy się ryżem, kukurydzą i fasolą, których napotykalismy coraz to częściej całe pola. Jedliśmy też dużo manioku, który jednak trzeba było trzeć na mękę i wyciskać zeń wodę, gdyż inaczej ma być trucizną.

Gratka taka, jak z owym, z nieba spadłym, koźlakiem, uważaną była jako prawdziwe dobrodziejstwo Opatrzności.

Wielu z nas jednak, przeważna część bodaj, nader dotkliwie uczuwalismy brak tytoniu. Póki nie było co pić, mniej nam to dokuczalo, ale gdy wody dostalismy w bród, wnet nam niemożność zapalenia, ten papierosa, tamten cygara lub fajki, stało się prawdziwym cierpieniem—po prostu. Każdy palący to zrozumie. Poczciwy, zacny mój porucznik Morandy miał coś jeszcze dwie paczki papierosów, tych zwanych „Bastos“, algierski fabrykat (nie szczególnego, prawdę powiedziawszy!), i od czasu do czasu, bo sam wstrzymywał się od palenia, aby na dłużej starczyło, do granic możliwości, gdy zdecydował się nareszcie zapalić, przełamywał zawsze papierosa na dwa i dawał mi jedną połówkę. Był to dowód „non plus ultra“ przyjaźni i zarazem niejako odwdzięczenia się za liczne kubki kawy i jadlo, gdy

mieliśmy co nadprogramowego, którymi go się częstowało. Z jakim to ja nabożeństwem te pół papierosy wypalałem, oddając niedopałek któremu z kolegów!

To są przyczyny, dla których ofiarowane mi przez pułkownika, który ich sam na pewno nie wiele miał, dwa papierosy, nazwałem królewskim podarunkiem.

Bóg wie czegośmy nie próbowali palić? Z wszystkiego najpraktyczniejszą okazała się herbata, przynajmniej dla mnie, bo obrzydzała mi chwilowo palenie.

Głodni więc i bez tytoniu, ale z lepszą fantazją, jak kiedy wody nie było, postępowaliśmy powoli naprzód.

Byliśmy tym razem na prostej drodze do Abomey'u, stolicy Dahomeju, to też Behanzyn wszystkie swe siły wyteżał, aby nas nareszcie zgnębić. Podbechtani przez fetyszystów (kapłanów), którzy im nakładli w głowy, że Francuzi żywcem ich samych żony ich i dzieci będą zjadali, żołnierze królewscy bili się prawdziwie odważnie i zaciekle. Od ostatecznej zagłady ratowały nas jedynie nasza sprawność bojowa, doskonały karabin, jakim jest „Lebel“, karność nasza i umiejętność naszych wodzów. W kilku już okazyach batalion legionu uratował cały korpus od zagłady, stając sztorcem i dając tem czas rozbitą już kolumnę do porządku doprowadzić. To też, niechętnie z początku widziani tak przez pułkownika Doods'a, jak i przez jego sztab, którzy do-

tąd nie mieli sposobności poznać się z pułkami cudzoziemskimi, od czasu bitwy pod Dogba, im dalej, tembardziej staliśmy się poprostu oczkiem w głowie naszych wodzów. Co do tych ostatnich zaś, to ja, my wszyscy, „vox populi“, całe oczywiście umiejętne prowadzenie wyprawy, to np. ciągle zachodzenie z boku, a nie z frontu mnóstwa ufortyfikowanych pozycyi i inne tego rodzaju sztuki, przypisywaliśmy nietyłe półkownikowi Doods, co jego szefowi sztabu, komendantowi Gonard, za co mocno pierwszego przepraszam, jeżeli się mylę. Komendanta Gonard spotykałem później i miałem sposobność bliżej, już jako pułkownika, poznać także w tarapatach wojennych i utwierdziłem nabrane o nim w Dahomeju, jako o wodzu, najlepsze wyobrażenie. Jest on dziś generałem i może jednym z najlepszych w armii francuskiej.

Mieliśmy ciągle kłopot z Senegalczykami. Odważni, dobrzy żołnierze są to jednak, choć się mają za Francuzów: „*Moi y en a Français!*“, prawdziwe dzikusy. Co za awantury mieli z nimi podczas i po każdej bitwie ich oficerowie i podoficerowie, aby im nie pozwolić obcinać głowy zabitym lub rannym, o to nie dbają, na to, żeby je nasadzić na karabin i z tryumfem obnosić po polu bitwy! Mieli także głupi zwyczaj, idąc do ataku na bagnety, trzymać karabin w prawej ręce i w biegu strzelać na wiatr—czy to aby sobie dodać pukanią odwagi, czy aby wroga nastraszyć, niewiadomo? Dobrze to było, czyli dla nas obojętne, gdy oni szli przed nami,—a kom-

panie szły po kolei naprzód, co dnia inna. Gdy my jednak szliśmy na czele, przestawało być to dla nas obojętne, bo częstokroć mogli kogo z nas ranić albo zgola zabić... a to nie miało żadnego sensu. Jęliśmy się im po dobremu perswadować i tłumaczyć, żeby tego zaniechali, ale gdy to wcale nie poskutkowało, umówiwszy się, zwróciliśmy się raz do nich w czasie bitwy z podniesionemi kolbami od karabinów, poturbowaliśmy im łby i poszliśmy znów naprzód. To skuteczzone zostało tak prędko i sprawnie, że w kilka minut po tem byliśmy panami pozycyi do zdobycia, a Senegalczycy... oduczyli się raz na zawsze strzelać „na hurra“, gdy przed nimi znajdował się legion.

Ich zresztą tłuczenie po głowie nie bardzo martwi, takie bo twarde łby mają! Na własne oczy widziałem, jak się o kilka kroków od siebie, dla nabrania rozpędu oddaliwszy, z największym zamachem i z całej siły uderzali siebie głową w głowę, a są to silne chłopcy... i nie! Grubymi drągami można ich po głowie tłuc; prędzej się drąg złamie, niż oni migreny dostaną!

W czasie to jednego z takich ataków na bagnety, gdyśmy zdobywali pagórek, z po za którego bombardowali nas Dahomejczycy—nie mogę sobie przypomnieć daty—przebiegłem obok leżącego na ziemi Śmigielskiego. Przystanąłem, a nie miałem czasu do tracenia, i pochyliłem się nad nim; poruszał ustami zakrwawionemi, ale niewyraźne tylko dźwięki wydawał: miał biedak przestrzeloną szczękę. Po-

wiedziałem mu kilka słów, starając się go pocieszyć trochę i odwagi dodać i pobiegnę dalej, bo nie mogłem się zatrzymywać. Byłem przekonany, że zginął, aż go w lat kilka później spotkałem w Paryżu; poznał mnie zdaleka ze sposobu chodzenia. Został lekarzem i praktykował, pobierając jednocześnie pensyjkę od rządu francuskiego. Fakt, że w Dahomeju był ranionym, wiele mu pomógł do otrzymania ulg rozmaitych dla dokończenia studiów medycznych; poprzednio, przed żołnierką swoją, był studentem w Wiedniu na drugim, czy trzecim kursie.

W tym samym, mniej więcej, czasie zginął Raczyński. Poszedł zdawać sprawę za przepuszczo-
ną w Monte Carlo kamienicę ojcowską. Ostatni raz zobaczyłem go był przed ową bitwą o wodę, w lasku. Któryś z kolegów z jego kompanii, wiedząc, że się z nim przyjaźnię, przyszedł mi powiedzieć o jego śmierci.

Z Polaków z drugiego pułku zostawaliśmy się więc tylko Sozański i ja, ale trzymaliśmy się dobrze.

Najgorsze jednak minęło, gdy d. 24 października komendant Audéoud przyprowadził nam posiłki w liczbie około ośmiuset Senegalczyków, świeżo przybyłych z Dakar'u, co podniosło siły nasze do razem blisko dwóch tysięcy ludzi i konwój: naboje, żywność i tytoń, ach... tytoń!

Posiłki i konwój złączyły się z nami w biwaku pod Akpa, dużej wsi, zdobytej tego dnia i obok ruin której biwakowaliśmy. Kompanie strzelców se-

negalskich udały się natychmiast na stanowiska im wyznaczone—w tym czasie utworzoną została czwarta grupa pod dowództwem nowo przybyłego komendanta Audéoud, małego wzrostu i szczupłego, z monoklem w oku, o dziarskiej minie oficera. Tragarze z konwoju przedefilowali przed nami, nosząc pakunki do środka obozu. Tragarzy tych, wszystkich, tak nowo przybyłych, jak i tych, którzy nam od początku wiernie towarzyszyli, z których padło stosunkowo tyń, co i nas, chociaż się nie bili, dostarczył przyjaciel i protegowany Francyi, król Toffa. Wkroczyli majestatycznie, uszeregowani po czterech, każdy z większym lub mniejszym pakunkiem, który, rękoma w górę wzniesionymi trzymał, na głowie. Na ich czele postępował z powagą ich naczelnik, olbrzymiego wzrostu i atletycznej postawy, a z ogromnym brzuchem jegomość, może królewski minister, machający sobie przed twarzą, powiedzmy wachlujący się, krowim ogonem. „Po co on to robi?”—spytałem jednego z naszych tragarzy, umiającego się już z nami dogadać. „*Gris-gris pou balles!*” (amulet na kule)—odpowiedział mi. „A czemu wy wszyscy takich amuletów nie macie—pytałem dalej—przecie krów nie brak, a tyłu was przecie padło od kul?”—„A bo nie każdy do takiego amuletu jest dobry—odrzekł—do dobrego amuletu musi być i dobry (lepszego gatunku) człowiek!”

„Aha—pomyślałem—więc nie pierwszy Nietzsche wymyślił nadludzi, bo tragarza naszego „dobry czło-

wiek“ oznacza bez ochyby to samo, co wielkiego filozofa „nadezłowiek!“.

Teorya, czy wiara tragarzy okazała się fałszywą, bo tofaniski „nadezłowiek“ dostał w swoim czasie dahomejską „śliwkę“, pomimo opieki krowiego ogona.

Warto było widzieć wzajemne witanie się naszych tragarzy z nowo przybyłymi kolegami swoimi. Gdy się dwóch przyjaciół zdaleka spostrzegło, wnet jeden zaczynał wołać: „a gou“; owo „gou“ długo przeciągając, na co mu drugi w ten sam sposób odpowiadał „a-gou“, poczem pierwszy znowu „a-gou“, drugi odpowiadał tak samo i tak aż do znudzenia, poczem oba razem, jak na komendę, wydawali długie, przeciągłe mruczenie, coś niby „hmmmm“, i... koniec, przywitali się! Wszystko to z twarzami, rozjaśnionymi poczciwym, serdecznym, szczerym uśmiechem, w którym calutkie dwa rzędy białych zębów pokazywali.

Z przybyciem konwoju, „pragnienie“ moje do zapalenia papierosa, ale to papierosa porządnego, nie pół-papieroska, wzmogło się w stosunku sześciu do jednego. Nie mogąc dłużej wytrzymać zbliżyłem się do miejsca, gdzie się ulokowali nasi oficerowie i podoficerowie z bagażami i zobaczyłem, że zniesiono już tam niektóre dla naszej kompanii przeznaczone pakunki. Wnet udałem się w prośby do sierżanta furyera Maury, tego samego, który jako kapitan się wslawił w r. 1910 na pograniczu Marokko, aby mi zaraz dał choć paczkę papierosów. Furyer

się wymawiał tem, że musi wpiery obrachunek zrobić, podzielić i t. d., ale kapitan, usłyszawszy naszą rozmowę, wyciągnął z otwartej już paki kilka paczek papierosów i dał mi je, mówiąc: „Uciekajcie prędko, bo gdyby to inni zobaczyli, niemógłbym sobie z nimi dać rady!“

Mało powiedzieć, że mi ten pierwszy, cały papieros, smakował.. wyraz „smakował“ nie określa dostatecznie rozkoszy mojej. Upiłem się nim formalnie, jak wódką!

Pozostaliśmy w Akpa dwa dni dla odpoczynku, podreperowania się i zreorganizowania.

Wypoczęci należycie, rano d. 26 października, po krótkiej walce, zdobyliśmy na bagnety dwie linie szanieców dahomejskich i weszliśmy do miasta Kotopa; o g. 2-iej, mniej więcej, tego dnia, wyruszyliśmy znowu i znowu na bagnety otworzyliśmy sobie przejście przez rzekę, która okazuje się jest nie ta, przez którą trzeba nam było przechodzić. Będziemy musieli wracać. Dnia tego straciliśmy kapitana adjutanta-majora z legionu, Demartinécourt, 22-iej grupy, ranionego przypadkiem, ale z własnej winy, przez nas samych. Nazajutrz widzimy zdaleka kilku ludzi z białą chorągwią, przysłanych przez Behanzyna, zapewne, aby się o pokój układać; oddalają się po długim rozhoworze z pułkownikiem, gdy my tymczasem zabieramy się do przejścia z powrotem rzeki, przebytej wczoraj przez omyłkę. Doszliśmy do rzeki właściwej i po krwawej walce udało się nam przejść przez rozpaczliwie broniony

bród. Przed samym wieczorem, rozłożyliśmy się biwakiem w niewielkiem oddaleniu od zdobytego przedwczoraj Kotopa.

Tu dowiedzieliśmy się, że jesteśmy bardzo niedaleko od Kany, nie galilejskiej, świętego Dahomejczyków miasta i od Abomey'u, stolicy.

Cofnęliśmy się do Kotopa, gdzie postawiliśmy wspólnymi siłami fort, w którym nagromadzono sporo amunicji i żywności, gdyż przybyło kilka konwojów jeden po drugim. Spędziliśmy w Kotopa pięć szczęśliwych dni na jedzeniu, piciu kawy, paleniu kłosa, kto lulki, kto papierosa i spaniu. Jedyńcem naszym zajęciem były rekonesanse dla wyszukania drogi do Kany.

Ruszyliśmy nareszcie 2-go listopada na dobre naprzód i odrazu weszliśmy w kontakt z nieprzyjacielem, natrafiwszy na bardzo silnie ufortyfikowaną, murami otoczoną pozycję Ouakon. Melinitowe pociski naszej artylerji, zamiast mury rozbijać, jakby to miało miejsce z każdym, po europejsku postawionym murem, dziury tylko w nich wywiercały, padając z drugiej strony, tak, że tysiące by pocisków potrzeba, aby otworzyć wyłom. Pochodzi to ztąd, że Dahomejczycy mury swoje budują z gliny, pomieszanej ze słomą siekaną. Grube i mocne, są to mury doskonałe. Zdobyliśmy nareszcie pozycję po trzechgodzinnej walce, w której straciliśmy kilkuset rannych i zabitych. Biwakowaliśmy na miejscu, u stóp i w okół obszernego, piętrowego budynku, podobno jednego z królewskich pałaców.

Noc tę spędziłem na straży „*petit poste volant*“ z trzema ludźmi o jakich dwieście metrów przed frontem obozu i raniutko, o świcie samym, z wielką biedą i okazując niezwyčajną siłę charakteru w nogach, udało się nam zemknąć do biwaku przed atakującymi go Dahomejczykami, których na szczęście dostrzegł w sam czas, zbliżających się pociechutku, mój szyldwach. Straciliśmy w tej imprezie koldry nasze i manierki, zdążywszy ledwie zabrać karabiny. Pół minuty później, o ile by nas Dahomejczycy nie capnęli żywcem, bylibyśmy się znaleźli pomiędzy ogniem Dahomejczyków i naszych kolegów, którzy czekali już w szanicykach z karabinami w pogotowiu do strzału.

Atak żołnierzy Behanzyna był tak gwałtowny, tak wściekły, że przedostali się przez jeden z boków obozu i przebili się aż do owego pałacu królewskiego, z którego jednak wkrótce wyparci, cofnęli się w popłochu, tracąc mnóstwo ludzi, po czterech przeszło godzinnej upartej walce, przeważnie na białą broń.

Po cofnięciu się nieprzyjaciela, kazano nam wykonać tak zwane „*feux de poursuite*“ (ogień ścigający), na pięćset, tysiąc, tysiąc pięćset i dwa tysiące metrów, (dwa kilometry), w skutek których znajduwaliśmy później nieprzyjacielskie trupy w ogromnem od obozu oddaleniu.

Straciliśmy dnia tego i wilją bliske dwieście ludzi w zabitych i ranionych. Kompania moja tak zmałała, że pytaliśmy się, niby to żartując, jedni

drugich: „na kogo teraz kolej?“. Ostatni oficer oprócz kapitana, zacy porucznik Morandy, zeszedł z pola, nie wiem czy ranny, czy zabity, ale nigdy już o nim nie słyszałem.

Przebywszy nazajutrz zaledwie kilka kilometrów, znaleźliśmy się przed miastem Kana, świętem miastem, Rzymem Dahomejczyków. Nie tracąc czasu, artylerya bombardowała go przez parę godzin, poczem ruszyliśmy w trzy kolumny do ataku.

Pogłoski obiegały od samego rana pomiędzy nami, że Behanzyn postanowił wszelkim kosztem do Kany uas nie dopuścić i że zgromadził w niej najlepsze swoje wojska, niedobitki z amazonek, rozmaite gwardye swoje przyboczne, straszliwych podobno, a dotąd jeszcze z nami nie zaangażowanych łowców słoni, którzy mieli być kwiatem, wyborem najtęższych, najlepszych ludzi z całego Dahomeju, a nareszcie, że wypuścił z więzień wszystkich jeńców, obiecując im wolność, nagrody i przywileje rozmaite, jeżeli dopomogą Francuzów wstrzymać i pokonać.

Musiała być w tych pogłoskach i część prawdy (okazało się potem, że były one zupełnie prawdziwe), bo orzech do zgryzienia tego dnia okazał się okrutnie twardy.

Znalazłem się w kolumnie środkowej; maszerowaliśmy rozwiniętym frontem, dosyć z początku powoli, po przez wysokie trawy a następnie uprawne pola fasoli. Na horyzoncie czerniły się lasy. Teren wznosił się łagodnie do góry.

Idąc, spostrześliśmy na lewo od nas kilka drzew, w cieniu których stała drewniana chata; pnice drzew, od dołu poobwieszane były muszlami, nanizanemi na sznurki, piórami, paciorkami, gałgankami i t. p. Będąc, jak zwykle, ostatnim na lewem skrzydle, dał mi kapitan znak ręką, abym zobaczył co to za chałupa: wzięwszy z sobą dwóch ludzi wszedłem do niej i prócz kilku niezgrabnie wyrzeźbionych w drzewie lalek, wizerunki ich bogów, „fetyszów”, nie zastałem absolutnie nic. Kazałem ją podpalić, aby nie mogła ewentualnie służyć za miejsce do zasadzki i pognałem za kolumną. Dalej trochę, kazauo nam przystanąć, zapewne na to, aby się inne dwie kolumny z naszą zrównały.

Zobaczywszy o kilka kroków przed naszym frontem duże drzewo pomarańczowe, okryte zielonym owocem, tamtejszy gatunek pomarańcz, bo były zupełnie dojrzałe, wlałem nań i narwałem, ile się dało przez bardzo krótką chwilę, owoców, rzucając je kolegom, bo zaraz zagrzmiała palba karabinowa.

Dahomejczycy rozpoczęli strzelaninę.

Zeskoczyłem co prędzej z drzewa. Staliśmy na brzegu szerokiej płaszczyzny, a przed nami rozciągało się duże miasto; najbliżej nas o kilkanaście, kilkadziesiąt kroków czerniły się domy i domki nie przeliczone, zbudowane z „pisé” (głina i siekana słoma), poprzecinane ulicami i uliczkami. Z tych to ulic zabarykadowanych, domów i domków skierowany był na nas silny, nieustający ogień; ruszyliśmy zdwojonym krokiem naprzód.

Wyczytałem niedawno, nie pamiętam gdzie, że ataki „furioso” nie są zgoła dowodem odwagi żołnierzy, ale przeciwnie, „ucieczką naprzód”. Zdaje mi się, że się dowcipny wynalazca tego określenia myli przecie i że trzeba na to bardzo dobrego, bardzo odważnego, wywieszzonego i oswojonego z ogniem żołnierza, aby bez wahania, ale pilnie bacząc komendy, w taki ogień, w takie piekło jak te, w jakieśmy wleźli, „uciekając”, tego dnia, „naprzód”, nie wziął się uciekać w tył. Dowcip jest bezwątpienia rzeczą bardzo ładną, ale ładniejby jeszcze wyglądał, gdyby był połączony z rozumem i obserwacją!

Uciekliśmy więc zdwojonym krokiem i trzymając się szeregu naprzód, z bagnietami nastawionymi, bez strzelania, bo nie chcieliśmy strzelać na chybił trafił i wpadliśmy jak burza w te ulice, uliczki i przesmyki, pomiędzy domy i domki, które jeden po drugim musieliśmy zdobywać. Nie będę się silił na opisywanie co się tam działo od mniej więcej 10-tej rano do 4-tej popołudniu, ale..... było nam okrutnie ciepło, ba... gorąco! Dostawaliśmy się do domów nie przez drzwi, mocno zabarykadowane, ale, rozwalając ściany, wpadaliśmy do środka kłując i tłukąc co się napotkało, bo ranni nawet, nie mogąc się z ziemi podnieść, rękami i zębami za nogi nas łapali; tego dnia widocznie szło o to, kto kogo ostatecznie weźmie!

Nie wiem już jak określić sposób bicia się Dahomejczyków dnia tego, bom już poprzednio użyć

musiał określić dobrze, zuchwale, wściekle i t. p., a dnia tego bili się oni lepiej, zuchwalej i wścieklej jeszcze jak kiedyś, pijani nienawiścią i „gin’em”, obrzydliwą, śmierdzącą wódką, której woń, zda się unosiła po nad wkrótce płonącymi domami.

Do niczego nie zdała się Dahomejczykom i w Kanie ich waleczność. Rzym dahomejski padł ostatecznie w nasze ręce i przed wieczorem, przeszedłszy tryumfalnie przez całe miasto, założyliśmy nasz obóz w przedmieściach ze strony przeciwnej od tej, którą rozpoczęliśmy go zdobywać.

Pobity raz więcej, Behanzyn jał się próbować układów; przysłał parlamentarzy, oświadczając, że zgadza się przyjąć protektorat francuski, wyda w nasze ręce dziesięć armat nowego modelu i dwa tysiące karabinów szybko strzelających, znieś niewolnictwo i ofiary ludzkie bogom, zapłaci odszkodowanie zrabowanym i ograbionym handlarzom europejskim i 15 milionów tytułem zwrotu kosztów wojennych.

Odrazu się domyślił nasz pułkownik, że było to próżne mamienie, aby wygrać na czasie, zatrzymać nasz pochód do stolicy.

My się pod Kaną zakwaterowaliśmy na dobre; przy pomocy czarnych naszych przyjaciół tragarzy, z namiotów urządziliśmy sobie nader wygodne domki i spędzaliśmy czas na naprawianiu rzeczy, czyszczeniu karabinów, spacerowaniu, zawsze kąpą, po zdobyciu mieście, gdzie szukaliśmy czy nie znajdziemy jakich opuszczonych bogactw, wreszcie uży-

waniu „dolce far niente” i odżywianiu się. Kuchacza mojej eskuady, poczciwego, choć „tafia” zanadto lubił, Rossi'ego, już nie było, wybrał się przedwcześnie na tamten świat! Bielizny także, niestety, wyprać nie było można, bo wody mieliśmy zaledwie na gotowanie, to też, ciężko to wyznać, byliśmy wszyscy, bez wyjątku, od pułkownika do ostatniego żołnierza, pokryci zwierzątkami zwanymi barankami egipskimi, vulgo wszami. Płócienne „ineksprimable” moje były tak przesiąknięte potem, błotem, kurzem, krwią,.... że, postawione trzymały się prosto jakby drewniane były.

Kompania moja bodaj czy nie największe poniosła straty podczas kampanii. Z czterech oficerów pozostawał się jeden kapitan, a z dwustu pięciu, razem wzięwszy, ludzi, których zegnał w Oranie generał Metzinger, nie było nas czterdziestu w obozie pod Kaną. Sozański i ja, jedyni od początku Polacy w czwartej kompanii, obroną dotąd wyszliśmy ręką; wieszowaliśmy sobie czasem żartobliwie jeden drugiemu tego, że jeszcze żyjemy. Raczyński, jedyny w drugiej kompanii Polak, zginął, a z kilku Polaków, o których słyszeliśmy, że byli w dwóch kompaniach, pochodzących z pierwszego pułku, ani jeden nie dostał się do Kany, gdzie bylibyśmy się mogli zapoznać!

Cieszyliśmy się też wyjątkowym spokojem i zda się, z powodu naszej małej liczby, nie używano kompanii mojej do żadnej służby obozowej, wart i t. d., ani do rekonesansów lub eskort. Kapitan nasz krę-

cil się na prawo i na lewo, ale widać było, że woli z nami rozmawiać i przesiadywać, niż z innymi oficerami spędzać swój czas.

Formalnie, resztki kompanii mojej powinnyby zostać wcielone w inną, aby uzupełnić jednostkę bojową (*unité de combat*), ale pułkownik czy nie chciał tego zrobić, czy żał mu było... boć przecie byłoby to nam odebrać i naszą nazwę i nasz numer: „*Compagnie Poivre, 4-e du Bataillon de la Légion*”, które przecie pewnego nabyły znaczenia i do którychśmy się byli przywiązali. Trwało więc tymczasem tak, a myśmy się z tego czuli wielce zadowoleni.

Codziennie do obozu przybywali posłowie Behanzyna, wszystko obiecując i proponując, a niczego nie dotrzymując, podczas gdy król podobno ściągał się z ostatniego, aby postawić na nogi nowe przeciw nam wojska. Środków mu nie brakło, miał i ludzi, i pieniądze, ale, wyjąwszy króla samego, duch upadł w całym kraju. Dahomej przecie liczy przeszło milion mieszkańców, z czego nam dotąd przeciwstawiono około 30,000 żołnierza, ale ludność cała jest tak wojownicza, rachując w to i kobiety, że z łatwością drugie tyle mogłoby jeszcze w pole wyruszyć.

Panowanie dynastji Behanzyna sięga dokładnie roku 1620, w którym przodek jego, Dako Takodounou, założył państwo w jego obecnej formie, nie obszarze, i przekazał go spadkobiercom swoim, którzy bez przerwy panowali do Behanzyna nad

Dahomejem, zdobywając jedne po drugich sąsiednie kraje lub każąc im sobie płacić haracz. Czysto wojowniczo-bandyecki naród, Dahomejczycy, żyli tylko wojną i rabunkami, uprawiając pola i wykonywując wszelkie niezbędne prace, rzemiosła, budowle i t. d. i t. d., za pomocą licznych niewolników. Straszne były owe ceremonie religijne lub pogrzeby królewskie, w których po dziesięć tysięcy niewolników zarzynano za jednym zamachem, tak, że krew ludzka literalnie strumieniem ściekała.

Królowie dahomejsey od dawien dawna mieli z Europejczykami do czynienia, bogacąc się niezmiernie na handlu niewolnikami, póki ten ohydny proceder był tolerowany przez państwa, robiąc na nim dobre interesa do niedawna, póki mogli, pod nazwą „zakontraktowanych robotników”, sprzedawać w dalszym ciągu niewolników do belgijskiego Kongo i do kolonii portugalskich.

Ojciec Behanzyna, król Glé-Glé, miał już nieporozumienia z Francuzami, ale sam Behanzyn, z chwilą wstąpienia na tron, od razu za cel sobie postawił wypędzenie ich z Kotonou i z Porto-Novo, zawojowanie państwa króla Toffa i ukaranie tegoż za przyjaźń jego dla Francji. Doprowadziło to do wojny w 1890 r., w której brał także udział porucznik Szymański, z piechoty morskiej i w niej doznał się ciężkiej rany. Niefortunna wyprawa zakończyła się tem, że podpisany został traktat, mocą którego Francja płacić miała 20,000 franków rocznej dzierżawy za port Kotonou, od dawien da-

wna odstąpiony jej traktatem przez jego dawnych posiadaczy a zdobyty na Francji przez Behanzyna.

Izba odmówiła ratyfikacji tego haniebnego traktatu i stąd wyprawa, w której miałem zaszczyt wziąć udział.

Gdy się tak Behanzyn z pułkownikiem układał, myśląc, że go zwodzi, a pułkownik tylko na rozkazy rządowe, co dalej czynić, czekał, przybył do obozu mianowany cywilny gubernator Dahomeju, p. Ballot, przywożąc owe instrukcje, brzmiące krótko: „układać się tylko w stolicy!”.

Przywiózł p. Ballot z sobą coś jeszcze, co mnie nierównie więcej od instrukcji, o które zgola nie dbałem, uradowało, a mianowicie kurjer z Europy, zawierający cały pęk listów z domu dla mnie i trochę pism polskich: (Kłosa Tygodnik ilustrowany, i innych kilka). Listy od rodziny dopiero uprzytomniły mi, że się tak wyrażę, z jakich to ja niebezpieczeństw z całą wyszedłem skórą i wzbudziły we mnie pragnienie zachowania do końca tej skóry w całości; innemi słowy, rozbudziły we mnie na nowo mocno przytępione uczucie przywiązania do życia.

Razem z moimi listami, albo przeciwnie, przybyły także i listy dla pułkownika, którymi on się pewno tak samo, jak ja mojemu, ucieszył, bo zawierały jego nominację na stopień generała brygady, za umiejętne poprowadzenie kampanii, jako też urzędowe podziękowanie izby posłów i senatu w „imie-

niu rzeczypospolitej” dla korpusu naszego za okazane bohaterstwo (héroïsme)! „Nie ziębi to ani grzeje — odezwał się Sozański — ale zawsze przyjemność!”.

Dowiedzieliśmy się wkrótce potem, że układy zostały ostatecznie zerwane i piętnastego listopada oznajmiono nam, że wyruszamy nazajutrz zdobywać stolicę, Abomey, którą z pewnością Behanzyn broń będzie do ostatniego tchu.

V.

Za przykładem Rostopczyzna.

Każdy słyszał lub czytał o wypadkach przeczcucia śmierci u żołnierzy. Na wojnie, co prawda, nic dziwnego, aby się komu wydało, że będzie zabity i nic dziwnego, jeśli się ten ktoś przypadkiem nie omyli. Nie zawsze te przeczcucia zawodzą, ale i nie zawsze się sprawdzają. Ojciec mój, podczas kampanii węgierskiej 1848-49 r., trapiiony pewnego pięknego poranka podobnem przeczcuciem, w czasie kiedy się właśnie rozpoczynała wielka, walna bitwa, zwierzył się swoim podkomendnym, że ma przy sobie sakiewkę z dukatami i uczynił ich swoimi ewentualnymi spadkobiercami. Bitwę przeżył szczęśliwie, ale gdy po bitwie w nocy mocno zasnął, bo zmęczony był setnie, ukradł mu ktoś trzosik jego. Jest to dowód oczywisty, że nie zawsze się złowro-

gie przeczucia sprawdzają, a i także, że lepiej nie rozpowiadać o sakiewkach z dukatami, gdy się je ma.

Podobne przeczucie i mnie nawiedziło, gdyśmy z Kany wyruszyli w kierunku stolicy. Dowiedziawszy się w wilją, że układy są zerwane i że idziemy nazajutrz naprzód, przygotowaliśmy się do wymarszu, opatrzyliśmy raz jeszcze wierne nasze leblówki (karabiny) i, pogwarzywszy z wieczora trochę z kolegami, ległem spać, myśląc o trudach czekających mnie na drugi dzień. Noc przespałem twarżo, bez marzeń sennych, a rano obudziłem się z zupełnie konkretną myślą, przekonaniem, przeświadczeniem, że będę tego dnia zabity. Musiało mi to gdzieś z wieczora wkraść się niepostrzeżenie do jakiejś komórki mózgowej, aby się rozwinąć, ubrać w formę określoną i z chwilą przebudzenia, zapanować nad moim umysłem jako pewnik. „Post factum“ wytłomaczyłem to sobie wpływem otrzymanych w wilją listów od rodziny, które rozbudziły we mnie pragnienie zobaczenia się z ukochanymi, ale i uwyraźniły mi trudności i przeszkody, nie mówiąc o odległości, uniemożliwiające spełnienie zaraz tego pragnienia. Ztąd w logicznym porządku, musiała mi się przesunąć myśl o czekającej mnie bitwie i o możliwości stracenia życia, a nareszcie, wyrobiło się przeczucie, że będę zabity. Całe to rozumowanie, łańcuch zmieniających się pojęć, przerobiło mi się zapewne w mózgu w czasie mego głębokiego snu.

Pewny więc byłem, że zginę, co mnie nie bardzo wzruszało, boć przeszedłem przez kilka ostatnich miesięcy przez takie ciągi, takie tarapaty, ty-

łem się nacierpiał od głodu, pragnienia, zmęczenia, tylu kolegów, przyjaciół dobrych padło przy mnie, tyle już razy śmierci zaglądałem w oczy, że w końcu zobojętniałem zupełnie i nie martwiła mnie weale pewność, że będę zabity dziś!

Martwiło mnie to, że się ze swoimi już nie zobaczę i dlatego zapragnąłem się z nimi pożegnać. Wyspekulowałem więc sobie czas między przebudzeniem a śniadaniem i prędko napisałem kilka słów pożegnania, które, zapieczętowawszy, wręczyłem jednemu z kolegów, obligując go, aby w danym razie przesłał list wedle adresu. Kawa była już gotowa... nadstawiłem swój kubek rozlewającemu ją koledze, zastępcy Rossi'ego i gdym wypił nalany mi gorący napój... zapomniałem już był, że mam tego dnia powędrować na tamten świat.

Dano sygnał do pochodu dopiero około 9-ej rano. Ruszyliśmy w drogę, we trzy kolumny, niedobitki mojej kompanii w środkowej, na lewem skrzydle, ja, jak zwykle, ostatni. Rozwinęliśmy się w marszu szerokim frontem, z działami w lukach pomiędzy kompaniami, z przednią strażą, flangardami, strażą tylną, rezerwą na swoich miejscach. Oficerowie byli wszyscy pieszo — marsz nie miał być długi, bo tuż, tuż, mieliśmy do stolicy ujrzeć, ale... spodziewaliśmy się, że będzie z przeszkodami. Szliśmy powoli olbrzymią, płaszczyzną, wznoszącą się bardzo łagodnie do góry, nieco falowatą. Przecinała ją szeroka, dobrze utrzymana droga, a okrywały ją pola uprawne, zarośnięte przeważnie fasolą i mnóstwem krzaków, okrytych strączkami małej, czerwonej, bardzo

mocnej papryki. Idąc, rwaliśmy fasolę o ile rosła na długość ramienia i pakowaliśmy nią kieszenie z zamiarem ugotowanie jej, jak tylko się nadarzy sposobność.

Widnokrąg niebieski był jasny, przejrzysty, nie zaciemniony ani najmniejszą chmurką. Gorąco było okrutnie.

W danej chwili widzieć się dało w oddaleniu jakby podniesienie gruntu, drzew nieco i ciemniejące masy: „To Abomey, Abomey!“ przebiegło po szeregach. Wyciągaliśmy szyje i otwierali szeroko oczy, chcąc lepiej zobaczyć. Od tyłu miesięcy szliśmy do tego Abomey'u, myśleliśmy o niem, biliśmy się, i głód cierpieli i pragnienie i męki rozmaite znosiliśmy, aby się doń dostać. Zaciekawiała nas więc wiadomość, że „oto Abomey!“

Maszerowaliśmy powoli, ostrożnie, uważnie, sprawdzając każdy załom gruntu, każdy kamień, każdy krzak. Od świeżo upieczonego generała do ostatniego żołnierza, wszyscy wyczekiwaliśmy, wypatrywaliśmy lada moment rozpoczęcia strzelaniny, wrzasku atakujących nas Dahomejczyków, łoskotu bitwy. Wszyscyśmy trzymali w pogotowiu lewą rękę do uchwycenia z prawego ramienia karabinu... a tu cicho i cicho! Uparta cisza zbijała nas wszystkich z tropu, dziwiła nas i niepokoiła: „Co to oni na nas przygotowują?“ oto było: *la question du jour*; (kwestya na porządku dziennym) i zwracaliśmy oczy i na prawo i na lewo, i znów naprzód, wciąż spodziewając się z jednej lub drugiej strony ujrzeć nagle ukazującego się wroga. Nikt z nas ani przy-

puszczał, żeby Behanzyn puścił nas do swej stolicy bez spróbowania raz jeden więcej hazardu bitwy.

Kontury wielkiego miasta rysowały się coraz to wyraźniej, widoczniej na horyzoncie. „Paryż dahomejski!“ orzekł jakiś dowcipniś. Ale także robiło się coraz to goręcej i około południa pułkownik, przepraszam, generał, dał rozkaz wstrzymać pochód. Stanęliśmy pod pozorem, że gorąco dokuczalo i że lepiej było przeczekać południowe godziny; ale był to tylko pozór, bo przez cały ciąg kampanii nikt nigdy na takie rzeczy nie zważał. Prawdziwym powodem zatrzymania się naszego był poprostu niepokój generała, domysłającego się, że Behanzyn jakąś sztukę przygotował, a niewiedzącego, co to może być za sztuka?

Wkrótce się dowiedział!

Ulokowaliśmy się biwakiem wokoło malutkiej wioszczyny, złożonej z dziesięciu może chałup. Kilku z naszych tofaniskich tragarzy, uniesionych nienawiscią dla wszystkiego, co dahomejskie, a może myśląc się tem przysłużyć, podpaliło owe chałupy które wnet spłonęły. Generał Doods kazał ich „stante pede“, dla przykładu, rozstrzelać.

Nie przeczę, że, podpalając owe chałupy postąpili oni źle... może wchodzili w drogę polityce generała, mającego zamiar Dahomejczyków ugłaskać; może generał chciał się sam w tych chałupach zakwaterować, może?... nie wiem, i wiem, że źle postąpili tragarze nasi, ale wiem również, że oddali nam oni nieocenione usługi podczas kampanii, że bez nich kampania by się nie była tak powiodła

i wreszcie, że setki, ba, tysiące ich braci poginęło, służąc nam i dla tego twierdzą, że w tym wypadku generał także bardzo źle sobie postąpił i że nie powinien był tego robić. Wszyscy moi koledzy podzielali moje zdanie w tej mierze.

Byłem kilka razy świadkiem egzekucji wojskowych. W Géryville, w Algierii, widziałem gdy rozstrzelano trzech legionistów, Niemców, którzy zdezerterowawszy dopuścili się morderstw i rabunków; przyłapani, skazani zostali na śmierć i przyjęli ją zuchwale. W Tonkinie, asystowałem ścinaniu łbów, „piratom“ chińskim lub annamskim, gdy kat, potężny Annamita, po spróbowaniu palcem ostrza zakrzywionego miecza i splunięciu czerwono (bo żuł betel), zmiatał jeden po drugim łby z karków, jak makówki; ci przyjmowali śmierć z najzupełniejszą obojętnością. Tu jednak, nieszczęśliwi skazani za przekroczenie zakazu, o którym pewnie i nie wiedzieli, szli na śmierć bez oporu, ni wypraszania się i nie zapomnę chyba spojrzenia, które na mnie rzucił, gdy go mimo nas prowadzono, jeden z tych biedaków: spojrzenie zdziwione—prerażone, z odcieniem poddania się. Chwilę potem, palba wystrzałów karabinowych zwiastowała, że „sprawiedliwości“ stało się zadość.

Zawiadomieni, że postój nasz potrwa kilka godzin, zabraliśmy się do przyrządzenia jedzenia. Po wypróżnieniu kieszeni z fasoli i papryki, uszczkniętych po drodze, jedni zajęli się dostawieniem drzewa do kuchni, drudzy wody, inni pomogli kucharzowi postawić piec „polowy“, składający się z kilku

kamieni odpowiednio ustawionych i rozpalic ogień, inni wyczyścili fasolę, jeden kawę zmeł, jeden otworzył pudełko „endaubage“ (konserwa wołowa)—wspólnymi siłami, w krótkim czasie załatwiliśmy się z jedzeniową sprawą, włącznie ze spożyciem darów bożych. Siedząc kto na ziemi, kto na kamieniu, z karabinem przy sobie, aby go móżdż uchwycić na pierwszy znak—od początku kampanii nigdyśmy karabinów w kozły nie stawiali, aleśmy je zawsze trzymali przy sobie—rozmawialiśmy z ożywieniem. Głównym, właściwie jedynym przedmiotem rozmowy było: „Co nam za sztukę przygotowuje Behanzyn?“ „Czy się zamknął w stolicy i w niej bronić będzie, czy też wyda nam przed tym bitwę?“ O bitwie nikt nie wątpił!

Zajęci dysputą nad zadanytem tematem, rzucaliśmy od czasu do czasu okiem na zarysowujące się w oddali, tak nas mocno obchodzące, miasto, gdy któryś z nas zauważył, że się wzbija zeń w niebo słup dymu i drugi, i trzeci, i czwarty... dziesiąty, setny: „Co to takiego?“ Rozległy się okrzyki: „Ogień pożar, Abomey się pali!“

Abomey się pali!

Zagadka została rozwiązana.

Przekonawszy się zapewne, że nim zdoła się obronić, Behanzyn kazał nam przed nosem stolicę swoją podpalić, zmuszając w ten sposób krewnych swoich, wodzów i ludność całą do uciekania z nim razem, gdy oni skłaniali się może do pertraktacyi z nami, jego pomijając.

Kazał przed nami, w naszej obecności podpalić to ogromne, jak na Dahomej i tę część Afryki, miasto, bo liczące podobno sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, aby nie mogło być powiedzianem, żeśmy Abomey zdobyli, a tylko, żeśmy ruiny jego w posiadanie wzięli.

Była niejaka wielkość, piękność niejaka w tym czynie. Żołnierze jednak nie ocenili tego. Podniosły się okrzyki oburzenia i gniewu; żołnierzom wydało się, że im Behanzyn umyślnie, na złość psikusa spłatał, że im niedozwoloną, nie „regulaminową“ krzywdę wyrządził, że spalenie Abomey'u nie było w programie. Od tak dawna wyglądaliśmy tej stolicy, tyleśmy się namordowali, namęczyli, natrudzili, aby się do Abomey'u dostać, a tu... niespodzianka! Przybiegł do mnie Sozański, zirytowany w najwyższym stopniu: „A to złodzieje dopiero, a to szelmy“... itp. „Zkąd im to do głowy przyszło? Żeby ich!“... tu całe litanie życzeń pod adresem Behanzyna i Dahomejczyków, życzeń, nie grzeszących ani miłością chrześcijańską, ani przyzwoitością.

Od Sozańskiego dopiero dowiedziałem się, że i jemu i większości kolegów chodziło jedynie o uniemożliwiony rabunek, że palące się, jeśli nie domy, to znajdujące się w nich przypuszczalnie „dobro“, uważali już niejako za swoje. Ztąd żal do Behanzyna. Przestałem Sozańskiego pocieszać, bo mnie nie ta strona kwestyi interesowała.

Przystęp do palącego się miasta był zbyt utrudniony i pozbawiony chwilowo racyi, wódz nasz postanowił pozostać na miejscu do następnego dnia.

Rozlokowaliśmy się więc wygodnie, korzystając ze sposobności, aby przeszukać pola okoliczne dla zdobycia jeszcze więcej fasoli, która nam okrutnie smakowała.

Przed nami tymczasem, a nie byliśmy od Abomey'u więcej nad trzy—cztery kilometry oddaleni, pożar szalał i rozszerzał się, ogarniając coraz to większą przestrzeń. Po zachodzie słońca mieliśmy widok, jak równie wspaniały rzadko chyba spotkać można. Słupy dymu czarnego wzbijały się wprost do góry hen, hen wysoko, promieniejąc chwilami snopami iskier, które z góry znowu na ziemię spadały. Cały widnokrąg, w olbrzymiem półkolu, był w ogniu: niebo zda się gorzało, tworząc jedno wielkie ognisko z palącym się miastem.

Iluminacja była pierwszorzędna: „Niech się schowa 14-go lipca!“ (święto narodowe we Francyi) żartował jakiś dowcipniś. Z pewnością nigdy żadna sztuczna iluminacja takiego stopnia piękna nie dosięgła, nie wywołała takiego uczucia zachwytu i grozy; my zaś byliśmy w pierwszych łóżach, w samem centrum naturalnego cyrku i wątpić należy czy Neron, przypatrując się pożarowi Rzymu, był tak dobrze ulokowany jak my, aby całość obrazu jednym rzutem oka objąć!

Weszliśmy do Abomey'u dopiero około trzeciej godziny nazajutrz, 17-go października, po południu. Przeszedłszy przez okoloną dymiącymi się jeszcze szczątkami domów główną, szeroką ulicą, doszliśmy do królewskiego pałacu Symbodii, w środku miasta, przed którym rozlegał się nader szeroki plac. Lewa

strona owego placu zamknięta była wysokim murem z pisé (głina ze słomą), mocnym i grubym. Na tym to placu, na samym środku którego stało wysokie, szeroko rozrośnięte, o gęstym zaliścieniu w formie kopuły jedno, jedyne drzewo, rozłożyliśmy się obozem nieopodal od drzewa z przeciwnej od muru strony.

Jak tylkośmy się uporali ze swoim gospodarstwem, t. zw. ustawieniem namiotów, przygotowaniem kuchni i t. p., wybrałem się w towarzystwie Sozańskiego, który już na mnie czekał, na wywiadowczą po stolicy wyprawę, a przedewszystkiem po za ów mur. Otaczał on rezydencję królewską i ujrzelśmy liczne domy parterowe i piętrowe, nie odznaczające się niczem szczególnem, jak można z tego było sobie od razu zdać sprawę, bo pożar spalił tylko dachy i drewniane urządzenia, pozostawiając ściany w całości. Znajdowały się tam: kwatery królewska właściwa, kwatery amazonek, ministrów, wyższych oficerów, wreszcie więzienia. Odkryliśmy tam budyneczek, zawierający salę tortur, której by się nie powstydzil żaden trybunał inkwizycyjny w Hiszpanii. Myszkujący z innej strony legioniści znaleźli w głębokim lochu, łańcuchem przykutą do ściany, jakąś starą, przeraźliwie chudą i zupełnie nagą kobietę, którą zaprowadzili do generała. Była to podobno ciotka jego królewskiej mości, którą Behanzyn za jakieś przewinienie trzymał od lat w tym lochu. Nie wyszła jej wolność na dobre, bo się coś nazajutrz przeniosła babina na łono Abrahama czy jakiego tam dahomejskiego proroka.

Przespacerowawszy się z godzinę po ruinach wróciłem do obozu, chcąc doglądnąć co się tam w mojej eskuadzie dzieje, gdy Sozański poszedł dalej z innymi towarzyszami poszukiwania robić.

Kompania moja dzieliła się natenczas na cztery już tylko eskuady, a z moich dawnych kolegów z pierwotnej 16-ej było nas trzech, mnie rachując. Zastąpiłem nie tylko wszystko w porządku, kucharza krzątającego się przy kociołkach, z których się aromatyczny zapach wydobywał—byliśmy jeszcze jedną kozę, ale starą, pochwycili dnia tego — ale i stopy kuponów płótna, sukna i jedwabiu nagromadzonych koło namiotów. „A co to takiego?“ spytałem. „A no, łupy. Będziemy po królewsku spać!“

W istocie, porządzaliśmy sobie znakomite posłania z tych wszystkich towarów bławatnych. Spałem bez przesady, na pół metrowej warstwie jedwabiu. Nie znając się na towarach łokciowych, nie obrażę się wcale za przypuszczenie, że jedwabie te nie były zapewne pierwszorzędnego gatunku, ale... były to jedwabie!

Nie tylko jedwabie wyszperali dnia tego nasi żołnierze, bo każdy dom zawierał piwnicę czyli loszek podziemny, w których znajdowały się najprzeróżniejsze przedmioty, tkaniny, zegarki, broń, klejnoty złote, srebrne i miedziane, pieniądze różnych państw, a trunków, to może najwięcej, od szampa na do najgorszego ginu (czytaj dzin). Dahomejczycy widocznie zmuszeni zostali do wyniesienia się niespodzianie, na łeb na szyję i zostawili za sobą wszystko, co posiadali.

Fatalnem okazało się znalezienie tych spirytualii: żołnierze, od tak dawna pozbawieni zdrowego jadła i wszelkich, najmniejszych choćby, wygod, rzucili się na wina i wódki, szczególnie na wódki i pili na umór. Co chwila padał który, zapity na śmierć—nie chwilową, ale na dobre. Jedni umierali w konwulsjach, z pianą na ustach; drudzy, we śnie pijackim. Kompanię moja wódka ta kosztowała drożej od najkrwawszej bitwy: biedny kapitan nie wiedział już, co robić? Za jego to poduszczeniem generał wydał rozkaz, o wiele spóźniony, tłuc wszystkie butelki, zawierające jakikolwiek płyn. Potłukliśmy ich, nie przesadzam, dziesiątki tysięcy. Zapach, jeżeli to można zapachem nazywać, ginu, czuć było z pewnością o milę od obozu.

Oszańcowawszy się silnie, oprócz niezbędnej służby odbywaliśmy tylko rekonesanse. Behanzyn uciekł na północ w góry, o wojskach jego i słuch zaginął. Na rekonesansie, odbytym na drugi dzień po obsadzeniu Abomey'u, pod dowództwem kapitana Poivre, napotkaliśmy kilku Dahomejczyków, kobiet i mężczyzn, stojących w polu. Łagodnie się z nimi obchodząc i rozmawiając na migi, przyprowadziliśmy ich z sobą do generała. Ten ostatni nadzwyczaj się okazał z połowu naszego uradowany: byli to pierwsi tubylecy, którzy się odważyli do nas zbliżyć. Generał miał nadzieję, że cała ludność pójdzie za ich przykładem. Obdarował ich suto, nakarmił i posłał wyszukiwać swoich braci po kryjówkach gdzie siedzieli pochowani.

Dahomejczycy są wogóle, mężczyźni i kobiety

średnio-wysokiego wzrostu, 1 metr 65 do 1 m. 75. bardzo tego zbudowani, o barach szerokich, wysmukli ale nie są piękni: twarze kwadratowe, oczy wklęsłe, czoło niskie, nosy mocno spłaszczone, a kolor skóry idący od brunatno-kasztanowatego do ciemno-czerwonego. Wyraz twarzy mało sympatyczny, okrutny i chytry, a w rzeczywistości mają oni być skłonni do kradzieży, kłamstwa, lenistwa i pychy. Pogarda dla rasy białej ma być jedną z cech charakteryzujących Dahomejczyka, mającego się za o wiele pod każdym względem lepszego i wyższego od Europejczyka.

Upłynęło kilka dni; przybył konwój jeden; potem drugi; przypędzono duże stado wołów. Dostaliśmy świeżego mięsa w bród, chleba stęchłego trochę, tytoniu w bród. Odbywaliśmy dzień w dzień rekonesans po rekonesansie, przyprowadzając wciąż nowych i więcej pogodzonych z losem Dahomejczyków.

Przybyły kompanje piechoty morskiej pozostawione w Dogba i przybyło kilka batalionów bodaj strzelców senegalskich.

Pewnego pięknego popołudnia, oznajmiono nam, że ruszamy z powrotem do domu. Tego samego dnia, padłem, nie mogąc ruszyć ani ręką, ani nogą!

Nie miałem ani febry, ani żadnej określonej choroby—padłem wprost z wycieńczenia. Trzymałem się do ostatka. Wiadomość, że się dla nas kampania skończyła, ucieszyła mnie nadzieją powrotu do domu i zwała z nóg. Powrotną do Porto-Novo

drogę odbyłem po części na noszach, po części w łodzi, gdyśmy dotarli do rzeki Ouémé, pod serdeczną opieką przeciwnego lekarza, p. Thomas.

Nie zapomną chyba tryumfalnego mego wejścia da ambulansu w Porto-Novo. Przyniesiony z łodzi, w noszach, na dziedziniec przed sam ambulans rozebrano mnie do naga i całe moje ubranie, bielezną i buty, gęsto zamieszkałe, wrzucono do palącego się tuż obok ogniska. „Dezynfekcja!“ mruknąłem sam do siebie. Mnie samego wykąpano starannie, wyszorowano i wsadzono do łóżka tak wygodnego, tak strasznie wygodnego, że ze dwie doby upłynęło zanim mogłem w nim użyć spoczynku—tak byłem do niewygody wrobiony!

Otoczono nas w ambulansie najtroskliwszą opieką; nie żalowano nam niczego, ani lekarstw wzmacniających, ani pożywienia, wykwintnego nawet, ani starań. Po kilku dniach byłbym już mógł wstać, ale... nawet krawata nie miałem, nie mówiąc już o innych niezbędnych częściach ubrania. Zarządzono nareszcie i temu, na moje natarczywe upomnienia się. Wyplacono mi równocześnie zaległy, pięcio-miesięczny żołd. Zafundowałem sobie natychmiast konfitur, o których od początku kompanii marzyłem.

Kilka dni później wsiałem na okręt „*Taygete*“ i wyjechałem na Sierra Leone, Dakar i wyspy Kanaryjskie do Marsylii. Nie będę opowiadał, jak nas ludność marsylska entuzjastycznie witała, jak gazety drukowały w *manszetach*, ogromnemi czcionkami: „*Le retour des héros du Dahomey*!“, jak

nas władze cywilne i wojskowe bankietami przyjmowały, jak nas i panienki i, niestety, czasem i niepanienki całowały, ani wreszcie jak na urlop czteromiesięczny do domu, leczyc się jak po Tonkinie, pojechałem. Wszystko to nie należy już do wyprawy dahomejskiej.

Jednem swoje opowiadanie zakończę, tem miaowicie, że Polacy nic w legionie cudzoziemskim francuzkim do roboty nie mają! Nic tam po nich! Nauka—za drogo kosztuje. Ja w legionie miałem szczęście wprost nadzwyczajne, może niezasłużone i dotąd nie rozumiem, jak to się stało, że się ze skórą całą i zdrowiem nienaruszonym ztamtąd wy dostał! Jest faktem nie do zaprzeczenia, że na sto szans, jest ich dziewięćdziesiąt sześć na to, że jeżeli się nie straci tam życia, to wróci się stamtąd ze zdrowiem, zrujnowanem do szczytu!

Nie warto ryzykować!

K O N I E C.



114977

Spis rzeczy.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	7
I. Legion cudzoziemski we Francyi	9
II. Amazonki króla Behanzyna	30
III. Głodno, gorąco i do domu daleko!	58
IV. Wojna nie matka	90
V. Za przykładem Roztopczyna	113
